

Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 1/2021
ISSN 2081-4518

*Świat się
zmienia*



- ² **Współczesny kapitalizm lub zdatna do życia Ziemia – musimy wybrać jedno** *Leszek Karlik*
- ⁵ **„Polska będzie wyglądać jak świat z Mad Maxa”** *rozmowa z Darią Gosek-Popiołek*
- ⁸ **Jak żywić i chronić?** *Joanna Perzyna*
- ¹⁰ **Medycyna przyszłości – mariaż nowoczesności z tradycją?** *Dariusz Jakubowski*
- ¹⁴ **Czy kościoły faktycznie opustoszeją?** *Paweł Miech*
- ¹⁶ **Technologie jutra (dla wybranych)** *Barbara Słania*
- ²⁰ **Ochrona danych osobowych to opowieść o wojnie** *Bartosz Migas*
- ²³ **Utopiami polityka ustana** *Michał Pytlik*
- ²⁶ **Świat idzie do przodu** *Agnieszka Lamek-Kochanowska*
- ³⁰ **Kto zarabia na dostępie do wiedzy?** *Sabina Musiał*
- ³³ **O projekcie „Przyszłość”** *Katarzyna Gasparska*

Świat się zmienia: na lepsze czy na gorsze?

Na to pytanie poszukujemy odpowiedzi na łamach najnowszego numeru „Równości”. Otwiera go tekst Leszka Karlika o, jak się okazuje, niekonięcznie łatwym wyborze: Współczesny kapitalizm lub zdatna do życia Ziemia. Choć mogłoby się wydawać, że wszyscy jednoznacznie wskażemy naszą planetę, ze złudzeń obdziera nas Daria Gosek-Popiołek. Posłanka Lewicy Razem w rozmowie z nami pokazuje, jak mroczna może być część ludzkiej natury, kiedy ponad sprzyjającą życiu przyrodę stawia się krótkowzroczny, materialny zysk. Gosek-Popiołek punktuje rozwiązania, które już teraz są na wyciągnięcie ręki, i dzięki którym przyszłym pokoleniom będzie żyło się co najmniej tak dobrze, jak nam.

Joanna Perzyna, związana z ruchem suwerenności żywnościowej Nyeleni Polska, objaśnia nam problemy, z jakim mierzy się współczesne rolnictwo, a także wskazuje drogi, którymi powinno ono podążać, by nie niszczyło naszej planety. Wydaje się, że innowacje, o których pisze, nie wykluczają się, choć są od siebie zupełnie różne. O medycynie przyszłości pisze z kolei Dariusz Jakubowski, według którego miałyby być ona mariażem nowoczesności z tradycją. Czy jest to w ogóle możliwe? A może już się dzieje?

Inne pytanie, które zadajemy w tym numerze, dotyczy przyszłości Kościoła katolickiego: czy obiekty kultu w nieunikniony sposób opustoszeją? Czy nowoczesny świat oznacza świat bez boga? A może religia przetrwa wszystko? Sprawdźcie to w tekście Pawła Miecha.

Przyszłość kojarzy nam się z nowoczesnymi technologiami i Internetem. O technologiach jutra, lecz niestety tylko dla wybranych, przeczytacie w artykule Barbary Słani. Wiemy, że „Równość” czytają osoby, które z Internetu nie korzy-

stają. Musicie uwierzyć nam na słowo, że aplikacje, o których pisze Słania, naprawdę istnieją i ułatwiają życie, jednak, co warto podkreślić, chyba nikt ich nie rozumie w 100%. Inną ważną kwestię związaną ze światem Internetu porusza Bartosz Migas, który omawia zagadnienie ochrony danych osobowych (a właściwie jej braku) i pierwszych prób wprowadzenia związanych z nimi regulacji prawnych.

Aby nie zapomnieć o polityce, Michał Pytlik porusza temat utopii, bez których polityka nie ma prawa istnieć. Zrozumienie tego mechanizmu wymaga spojrzenia wstecz: kiedy uświadomimy sobie, jak zwyczajne dziś sprawy były w przeszłości niewyobrażalne, łatwiej nam pojąć, że utopia to niezbędny element postępu i wprowadzania zmian na lepsze.

Agnieszka Lamek-Kochanowska, rozmyślając o przyszłości, również cofa się do wydarzeń z nieodległej historii, które wpływają na jej kształt. To, jak myślimy i jakiego języka używamy, jest wynikiem naszych doświadczeń. Jak zatem doświadczenie pandemii wpłynie na nasze jutro? W „Równości” stawiamy wiele pytań i wskazujemy możliwe odpowiedzi. Sabina Musiał pyta, Kto zarabia na dostępie do wiedzy?, i wymienia, jakie zagrożenia to za sobą niesie. To właśnie w nauce i technologiach bardzo często pokładamy nadzieję na lepszą przyszłość, jednak pojawia się pewien problem: nauka nie może poddawać się regułom kapitalizmu.

Numer zamykamy tekstem, w którym przybliżamy rozmaite scenariusze przyszłości. Nie wróżymy jednak z fusów, lecz piszemy, co na ten temat mówią ekspertki i eksperci.

Zapraszamy do lektury, a po niej do dzielenia się swoimi przemyśleniami!

Katarzyna Gasparska

Leszek Karlik

Współczesny kapitalizm lub zdatna do życia Ziemia – musimy wybrać jedno

Im dłużej czekamy ze zmianą, tym gorsze będzie życie następnych pokoleń, tym więcej ludzi umrze, tym więcej gatunków roślin i zwierząt stracimy na zawsze. Co może zastąpić kapitalizm, jak będzie to wyglądać i gdzie można zobaczyć owe wizje lepszej przyszłości?

Aby nasz system gospodarczy się nie zawalił, potrzebujemy długoterminowo utrzymać co najmniej 3% wzrostu gospodarki i 5% zwrotu z kapitału. Wzrost poniżej 3% rocznie oznacza załamanie gospodarcze, więc rządy robią wszystko, by utrzymać go na wyższym poziomie.

Co to oznacza w praktyce? Oznacza to, że realna gospodarka (liczba produkowanych rzeczy i ilość zużytych surowców i energii) musi co 23 lata zwiększać się dwukrotnie, a ilość pieniądza w obiegu musi podwajać się co 14 lat. To zjawisko nazywamy wzrostem wykładniczym. Innym, obecnie znanym nam wszystkim przykładem wzrostu wykładniczego jest pandemia wirusa w sytuacji braku reakcji ze strony rządu: liczba osób chorych z początku rośnie powoli, a później coraz szybciej i szybciej.

Schyłkowy kapitalizm dąży do konfrontacji z prawami fizyki i ciągle przyspiesza. Ekonomista Kenneth E. Boulding powiedział: *Każdy, kto wierzy, że wzrost*

wykładniczy może trwać w nieskończoność na skończonej planecie, jest albo szaleńcem, albo ekonomistą.

Ekonomia, czyli społeczna umowa dotycząca tego, „co komu się należy i dlaczego”, nie może wygrać z bezwzględnymi prawami termodynamiki i fizyki atmosfery. W ciągu najbliższych 10–40 lat (w zależności od tego, jak czuły na emisje dwutlenku węgla okaże się klimat) przekonamy się, że planety nie obchodzi szeroko akceptowane przekonanie, iż postęp możliwy jest tylko wtedy, kiedy mała grupka osób bardzo się na nim wzbogaci. Wówczas będziemy

Czy uda nam się pokojowa i ewolucyjna transformacja ustroju w ciągu dekady lub dwóch?

musieli przejść na inny system gospodarczy, gdyż obecny, oparty na ciągłym wzroście, będzie dolewać benzyny do ognia szalejącego na całej planecie. Pojawia się tu następujące pytanie: czy uda nam się pokojowa i ewolucyjna transformacja ustroju w ciągu dekady lub dwóch, czy też nowy ustrój będą budować niedobitki ludzkości na ruinach współczesnej cywilizacji ery Wielkiego Przeżerania?

W tego rodzaju dyskusjach zazwyczaj pojawia się jeszcze jedna kwestia: jeżeli nie kapitalizm, a socjalizm już próbowaliśmy i nie wyszedł – to co? Brzmi ona dość podobnie do pytania: a co, jeśli nie feudalizm? Niezależnie od tego, jak będziemy nazywać ustrój ZSRR i krajów bloku wschodniego (realny socjalizm, komunizm itp.), był on równoległy do kapitalizmu. Feudalizmu średniowiecznej Europy nie zastąpiło równoległe do niego biurokratyczne imperium Chin,

tylko coś nowego: kapitalizm. Podobnie jest teraz: schyłkowy kapitalizm XXI w. zostanie zastąpiony przez coś nowego, a nie przez coś, co już było.

A jak to coś będzie wyglądać i jak się będzie nazywać?

Ponieważ do nowego ustroju chcemy dojść demokratycznie, będzie on musiał charakteryzować się możliwością dojścia do niego w sposób ewolucyjny i na drodze stopniowych reform obecnej gospodarki. Jednocześnie będzie musiał pozwolić na przetrwanie biosfery planety,

co oznacza oparcie go na zasadach postwzrostu (ang. *degrowth*).

Czym jest postwzrost? To założenie, że nie możemy podwajać realnej gospodarki co dwie dekady ani podwajać ilości pieniądza w obiegu co kilkanaście lat. Rozwój będzie jak najbardziej możliwy, w szczególności w perspektywie globalnej – do tej pory większość jego owoców była konsumowana przez bogate kraje globalnej Północy, a koszty (w tym pierwsze ofiary katastrofy klimatycznej) przenoszone na ubogie kraje globalnego Południa.

Obecnie za połowę światowych emisji gazów cieplarnianych odpowiada 10% najzamożniejszych mieszkańców planety, podczas gdy 50% najbiedniejszych odpowiada za 10% emisji. Oznacza to, że można dokonać redystrybucji tych zasobów tak, by wszyscy żyli w komforcie, a jednocześnie zmniejszyć emisje

dzięki systemowym zmianom premiującym publiczną, niskoemisyjną infrastrukturę – np. przesiadkę z indywidualnych samochodów spalających paliwa kopalne do komunikacji publicznej zasilanej niskoemisyjnym prądem z energetyki jądrowej i odnawialnej.

Nowa gospodarka musi znacząco zmniejszać nierówności, jednak nie ma potrzeby ich całkowitej likwidacji, podobnie jak eliminacji mechanizmów rynkowych. Dostępne są dwie ścieżki, a biorąc pod uwagę precedensowy poziom nierówności w XXI w., konieczne będzie skorzystanie z obu naraz.

Pierwsza to redystrybucja, czyli wysokie progresywne podatki majątkowe i dochodowe połączone z bezwarunkowym dochodem podstawowym. Jeżeli każdy człowiek będzie miał zagwarantowane środki umożliwiające mu przetrwanie i nie będzie możliwości zmuszenia go do fatalnej pracy groźbą bezdomności czy śmierci z głodu, to w końcu płaca za pracę zacznie podlegać rynkowemu mechanizmowi popytu i podaży. Wówczas okaże się, że tzw. „pracownicy kluczowi”, czyli sklepowe, sprzątacze, śmieciarze, kurierki i cała reszta tych osób, które muszą pracować pomimo pandemii (bo bez nich zawałiłaby się cywilizacja), mogą zażądać dużo wyższej płacy niż najniższa możliwa. Bez ich pracy społeczeństwa nie wytrzymałyby nawet tygodnia.

Druga to tzw. „predystrybucja” – zapewnienie pracownikom dużo większego wpływu na środowisko pracy, co przekłada się na wyższe płace. To demokracja w pracy, czyli wybieranie kierowników i dyrekcji przez pracowników,

Schyłkowy kapitalizm

XXI w. zostanie

zastąpiony

przez coś

nowego,

a nie przez coś,

co już było

a nie przez udziałowców, oraz udział pracowników w radach nadzorczych korporacji. Badania pokazują, że firmy będące demokracjami, a nie dyktaturami (jak większość małych przedsiębiorstw w Polsce) czy feudalnymi królestwami (jak duże korporacje), lepiej sobie radzą na rynku i rzadziej upadają, bo ich pracownicy nie czują się w nich wyłącznie jak trybiki maszyny. Najbardziej znanym przykładem takiego rozwiązania są baskijskie spółdzielnie Mondragon.

Te dwie ścieżki będą się ze sobą stopniowo schodzić.

Z jednej strony progresywne podatki mogą dojść do etapu płacy maksymalnej – np. dziesięciokrotności bezwarunkowego dochodu podstawowego. Różnica poziomu życia pomiędzy dostawianiem gwarantowanych 2000 zł a zarabianiem maksymalnych 20 000 zł miesięcznie jest gigantyczna i w zupełności wystarczająca do tego, by motywować ludzi do pomnażania swojego dochodu.

Wystarczy spojrzeć na największą i najbardziej bezwzględnie korporację świata, czyli na amerykańskie siły zbrojne. W USA najniższy żołd to trochę ponad 22 tys. USD rocznie, podczas gdy maksymalny żołd generała to 180 tys. – różnica między najwyższym a najniższym zarobkiem to nieco ponad ośmiokrotność. Tymczasem żaden decydent w USA nie uważa, że amerykańskie wojsko byłoby jeszcze skuteczniejsze w bombardowaniu i okupowaniu innych krajów, gdyby generałom płacić milion czy dwa miliony rocznie. Kongresmeni i senatorzy to bogaci ludzie, którzy świetnie

wiedzą, że gigantyczne płace prezesów wielkich korporacji nie mają nic wspólnego z wynikami finansowymi tych firm.

Z drugiej strony od korporacji można wymagać stopniowego przekazywania w ramach podatków części swoich akcji do krajowych funduszy powierniczych, takich jak w Norwegii, Singapurze czy na Alasce. W ten sposób dywidendy z posiadanych przez wszystkich obywateli danego państwa czy regionu funduszy zaczną finansować bezwarunkowy dochód podstawowy.

Te działania będą uzupełniane przez stopniowe skracanie czasu pracy przy zachowaniu godnej płacy. Najpierw czterodniowy tydzień pracy, a następnie trzydniowy lub nawet krótszy. Rozwiązanie to nie tylko zwiększa satysfakcję z życia, daje więcej możliwości spędzania czasu z rodziną i przyjaciółmi oraz zmniejsza emisję gazów cieplarnianych, ale również daje obywatelom więcej czasu na udział w procesach demokratycznych. To kluczowe zarówno na najniższym poziomie codziennej pracy

w firmie, jak i na poziomie całego kraju czy organizacji ponadnarodowych.

Wątpliwe wydaje się szybkie odejście od wyborów reprezentantów, lecz władza wykonawcza z wyborów będzie mogła być kontrolowana przez osoby losowane z populacji, co byłoby powrotem do korzeni demokracji, jakimi jest starożytna Grecja. W przyszłości czy to obywatelski Senat nadzorujący działania wybranych reprezentantów, czy to rady nadzorcze korporacji lub państwowych funduszy powierniczych, czy to panele nadzorujące działanie mediów będą losowane spośród wszystkich obywateli i obywaterek, tak aby zapewnić odpowiednią reprezentację całemu społeczeństwu. Za spędzenie roku czy dwóch w danej instytucji wylosowane osoby otrzymywałyby godziwe wynagrodzenie.

A jak nazwiemy taki ustrój? To już najmniej istotna kwestia. Może, na przykład, „kapitalizm demokratyczny”? A może „ekodemokracja”? Albo „postkapitalizm”?



Il.: Marek Chmiel

Taki ustrój będzie miał dużo cech kapitalizmu, jak chociażby istnienie kapitału oraz rynkowych mechanizmów jego alokacji, lecz dzięki państwowym, globalnym i regionalnym funduszom poddawanym demokratycznemu nadzorowi i wypłacającym z dywidend bezwarunkowy dochód podstawowy kapitalistą będzie każdy z nas, a nie tylko najbogatsze 0,01% ludzi na planecie.

Postkapitalizm w literaturze

I na koniec trochę lektur: w literaturze science fiction wizje cywilizacji, której udało się poradzić sobie z wyzwaniem globalnej katastrofy klimatycznej, przedstawia Kim Stanley Robinson, najbardziej znany z trylogii o terraformacji Marsa (*Czerwony Mars*, *Zielony Mars* i *Błękitny Mars*). Postkapitalistyczną gospodarkę można również zobaczyć w trzecim tomie trylogii *Trzy Kalifornie* (*Pacific Edge*), w 2312 oraz w jego najnowszej książce *The Ministry for the Future* (niestety żadnej z nich nie opublikowano w języku polskim). Z klasyki gatunku można polecić *Wydziedziczonych* Ursuli K. LeGuin, zaś odległe wizje postkapitalistycznej przyszłości są obecne oczywiście w uniwersum *Star Treka* oraz cyklu o Kulturze Iaina M. Banksa.

Z publicystyki zaś warto przeczytać *Utopię dla realistów* Rutgera Bregmana, a gdzieś pomiędzy science fiction a publicystyką leży *Another Now: Dispatches from an Alternative Present* Yanisa Varoufakisa, tj. alternatywna historia roku 2025, w której po kryzysie finansowym 2008 r. zamiast ratunku dla banków nastąpiła demokratyzacja gospodarki. ♦

„Polska będzie wyglądać jak świat z Mad Maxa”

Rozmowa z Darią Gosek-Popiołek

REDAKCJA RÓWNOŚĆ: W czerwcu 2020 r. złożyłaś w Sejmie projekt ustawy zmieniającej prawo wodne dla Polski. W naszym kraju od wielu lat trwa susza, jednak wciąż wydaje nam się, że sytuacja jest pod kontrolą. Jak realne jest ryzyko, że w Polsce zabraknie wody?
DARIA GOSEK-POPIOŁEK: Polska będzie wyglądać jak świat z *Mad Maxa* – woda stanie się

Zmiany, które musimy wprowadzić, są olbrzymie i systemowe oraz powinny być realizowane na wielu poziomach

dobrem luksusowym. Problem związany z apokaliptycznymi obrazami jest taki, że wydają nam się one bardzo odległe, a przez tę odległość nieprawdopodobne. Używamy ich, by mówić o wojnach o wodę, ale nie bierzemy ich tak naprawdę na serio. Tymczasem katastrofa już trwa. Suszę w Polsce mamy właściwie od 2013 r. Widzą to rolnicy, choć być może społeczeństwo kupujące w markecie importowane pomidory z Hiszpanii jeszcze tego nie dostrzega. Lokalne, ograniczone terytorialnie, nagle i ekstremalnie powodzie również są odsłoną suszy i problemu z wodą w Polsce. Dziś pytanie nie brzmi więc: *jak zapobiegać?*, lecz: *co robić tu i teraz?*.

Zmiany, które musimy wprowadzić, są olbrzymie i systemowe, co oznacza, że powinny być realizowane na wielu poziomach.

RR: Z czego wynika tak duże zagrożenie powodziąmi w Polsce? Pojawiają się głosy, że jednym z powodów jest betonowanie rzek. Czy faktycznie tak jest?

DG-P: Betonowanie rzek w praktyce oznacza złe gospodarowanie zasobami wodnymi. W konsekwencji mamy szereg inwestycji, których skutki będą oplakane. Dla ministerstwa priorytetem pozostają budowle piętrzące¹, podczas gdy naukowcy z Polskiego Towarzystwa Hydrobiologicznego i ruchu Nauka dla Przyrody

projekt Planu Przeciwdziałania Skutkom Suszy oceniają następująco:

Na 68 przykładowych inwestycji mających służyć ochronie przed suszą (...), 61 dotyczy budowy lub remontu konstrukcji piętrzących na zbiornikach o stałym poziomie piętrzenia, lub na których reżim przepływu nie jest w żaden sposób podporządkowany retencji. Nie są to więc w praktyce inwestycje rzeczywiście chroniące przed suszą, a środki na nie przeznaczone są wydatkowane niezgodnie z przeznaczeniem.

Regulacja rzek sprawia, że woda płynie szybciej, co sprzyja, a nie zapobiega

¹ Rodzaj budowli hydrotechnicznej umożliwiający stałe lub okresowe piętrzenie wody ponad przyległy teren albo akwen.

powodziom. Głosy ekspertów są jasne i zgodne: rzeki powinny być renaturyzowane, a nie regulowane. Kiedy pozwalamy rzece na meandrowanie i tworzenie mokradeł, sprawiamy, że jej koryto i dolina mieści o wiele więcej wody, a fala wezbraniowa jest znacznie mniejsza. To nie tylko kwestia odejścia od niezwykle kosztownych obiektów hydrotechnicznych, ale także planowania przestrzennego – rezygnacji z zabudowy terenów zalewowych.

RR: Na czym polega problem z obecnym prawem wodnym?

DG-P: Mamy zdecydowanie za mało wody, a walki z suszą i innymi zjawiskami ekstremalnymi nie ułatwia obowiązujące prawo, które oparte jest na przekonaniu, że powinniśmy przede wszystkim osuszać pola uprawne i walczyć z możliwi-

mi powodziąmi jak najszybciej „odprowadzając” wodę do morza przez system rowów odwadniających, regulację rzek i kanałów czy pogłębianie rzek. Efekt takich działań może być tylko jeden: jeszcze większe powodzie i pustynnienie Polski.

Regulacja rzek sprawia, że woda płynie szybciej, co sprzyja, a nie zapobiega powodziom

Dlatego złożyłam projekt ustawy zmieniającej prawo wodne, który opiera się na całkowitym odwróceniu priorytetów: zamiast odprowadzania wody z krajobrazu, powinniśmy postawić na retencję dolinową i korytową, bo to właśnie one chronią nas zarówno przed suszą, jak i powodzią. Należy dążyć do ograniczenia betonowania i regulowania

rzek, skupiając się na ich renaturyzacji. Proponujemy także zredukować prace utrzymaniowe na rzekach, które mają wpływ na ich stan, jak również na stan siedlisk i na różnorodność biologiczną. Woda jest dobrem wspólnym, dlatego uznajemy

potrzebę wprowadzenia kontroli społecznej także w zakresie inwestycji związanych z gospodarką wodną. Nasza ustawa to wynik pracy z organizacjami pozarządowymi oraz z naukowcami i naukowczyniami. Mamy nadzieję, że jak najszybciej uda się ją przegłosować i wprowadzić w życie.

RR: Codziennie docierają do nas informacje o masowych wycinkach drzew czy to w miastach, czy wzdłuż torów kolejowych. Najbardziej niepokojące jest to, że wycina się je bez zastanowienia również w rezerwach przyrody. Co możemy zrobić, by temu zapobiec?

DG-P: W rezerwach przyrody wycinek nie ma, ale już w otulinach parków narodowych czy na terenach projektowanych rezerwatów – niestety tak. Trwa właśnie obrona wydzielenia 219a w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego – to słynne wydzielenie, w obronie którego wystąpiła Olga Tokarczuk, ponad 200 naukowców, a którego teraz broni Kolektyw „Wilczyce”. Rzeź lasów trwa również na terenie Bieszczad i Pogórza Przemyskiego. Od miesiący

domagam się od Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie odpowiedzi, czy i kiedy procedowane będą wnioski o utworzeniu rezerwatu „Zakole Sanu”, „Las Bukowy pod Obnogą” i „Przełom Wołosatego i Widelki”. Dziś dzieje się z nimi to samo, co z wnioskiem o rezerwat „Reliktowa Puszcza Karpacka” i z pomnikami przyrody – nic. To systemowe problemy z ochroną dzikiej i cennej natury.

A co możemy zrobić w tej sprawie? Oprócz oddolnych protestów, wspierania aktywistów i nacisków na dyrekcje Lasów Państwowych niestety pojedyncze osoby mogą zrobić niewiele. Przyroda jest polityczna w tym sensie, że ten, kto ma polityczną władzę, może ją chronić lub eksploatować. Drzewa, rzeki i jeziora nie mogą głosować, jednak potrzebują politycznej reprezentacji.

RR: Jak działa w Polsce (lub nie działa) systemowa ochrona przyrody? Czy interes środowiska naturalnego ma priorytet przed innymi celami politycznymi (np. interesami biznesu)?

DG-P: Nie, zdecydowanie tak nie jest. Lasy Państwowe stały się z jednej strony korporacją nastawioną na zysk, której celem jest pozyskiwanie drewna nawet z cennych przyrodniczo wydzieleni leśnych, a z drugiej strony agencją pracy dla współpracowników Zbigniewa Ziobry. Państwo, zamiast walczyć z suszami i powodzią, planuje wydać miliardy na budowę dróg wodnych i uruchomienie żeglugi śródlądowej, przyczyniając się do dewastacji tych nielicznych zasobów wodnych, które

posiadamy. Prawo środowiskowe jest pozbawione zębów, a przedsiębiorcy robią, co chcą, bo nie ma narzędzi, by wymusić na nich przestrzeganie norm i przepisów. Od miesiący wspieram mieszkańców jednej z nowosądeckich gmin, którzy walczą z zakładem przetwarzania odpadów. Reaguję na sprawy związane z działalnością mafii śmieciowych. Widzę, jak bezradni są ludzie w starciu z inwestorami, których zysk staje się ważniejszy nie tylko od komfortu, ale także od ludzkiego zdrowia i życia. Zresztą, nie mówimy jedynie o prywatnym sektorze – państwowe firmy czy instytucje niestety nie działają lepiej.

Lasy Państwowe stały się z jednej strony korporacją nastawioną na zysk, z drugiej strony agencją pracy dla współpracowników Zbigniewa Ziobry

RR: Czy warto budować w Polsce spalarnie śmieci? Czyim interesem to służy?

DG-P: Spalarnie wydają się rozwiązaniem w pewnym sensie najprostszym, a tymczasem problem jest o wiele bardziej skomplikowany. Przede wszystkim powinny one uzupełniać recykling, a nie go zastępować. Wydaje się, że niestety zmierzamy w przeciwną stronę, koncentrując się na spalaniu, a nie na wprowadzaniu gospodarki tzw. obiegu zamkniętego. Chodzi o to, by produkty, materiały czy surowce wykorzystywano tak długo, jak jest to możliwe, a wytwarzanie odpadów było jak najbardziej zminimalizowane. Oznaczałoby to zmiany nie tylko w konsumpcji, ale i w samej produkcji i wykorzystaniu surowców. Oczywiście są odpa-

dy, których zagospodarować nie możemy, dlatego spalarnie są niezbędne, jednak nie mogą być one podstawą gospodarki odpadami.

RR: Wielu osobom wydaje się, że dla ochrony klimatu mogą zrobić bardzo niewiele, przez co popadają w depresję klimatyczną. Co zatem można zrobić, by poradzić sobie z tym zjawiskiem?

DG-P: Indywidualne strategie na pewno są różne. Warto włączyć się w działania lokalne, budować sieci wsparcia, wspierać lokalne grupy działające na rzecz ochrony środowiska, takie jak Extinction Rebellion²

czy Strajki Klimatyczne. W pracy parlamentarnej skupiam się na wspieraniu osób walczących z konkretnymi problemami, ale ważne jest dla mnie także znajdowanie systemowych rozwiązań i proponowanie reform – np. prawa wodnego, gospodarki odpadami czy ochrony środowiska naturalnego. ♦

Daria Gosek-Popiołek – posłanka na Sejm, członkini partii Lewica Razem, członkini komisji sejmowych: Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, Komisja Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa oraz Komisja Rolnictwa i Rozwoju Wsi

² Extinction Rebellion to międzynarodowy ruch wykorzystujący akcje masowego obywatelskiego nieposłuszeństwa w celu wymuszenia na rządach działań zapobiegających antropogenicznym zmianom klimatu, utracie bioróżnorodności, masowemu wymieraniu gatunków oraz zagrożeniu wyginięciem ludzkości.



Joanna Perzyna

Jak żywić i chronić?

Trudno wyobrazić sobie świat bez produkcji żywności. Szanowany przyrodnik i podróżnik, sir David Attenborough, w swoim najnowszym filmie *Życie na naszej planecie kreśli trudną i smutną wizję rozpadu świata naturalnego, którego był świadkiem w swoim długim życiu. Rolnictwo jest jednym z głównych oskarżonych o dramatyczną utratę różnorodności biologicznej i zagładę „dzikiej” przyrody. W końcówce filmu Attenborough mówi: znam rozwiązanie. Kreśli też futurystyczną wizję „fabryk żywności”, które obywają się bez gleby i słońca. Jak produkować żywność przyszłości?*

W ciągu ostatnich 60 lat pojawiły się różne koncepcje rozwiązywania kwestii systemów żywnościowych w skali świata. Tzw. „zielona rewolucja” – intensyfikacja produkcji w oparciu o sztuczne nawozy i środki ochrony roślin – w pewnym momencie wydała się jedyną szansą, by, jak mówiono, „wyżywić świat”. Jednak głód nie zniknął, wyczerpują się zasoby (gleba, woda czy paliwa kopalne), a trzecia część produkowanej na świecie żywności jest marnowana. Coś jest nie w porządku.

Problem, którego nie da się dłużej ignorować

Rolnictwo jest największym pojedynczym czynnikiem przekształcenia biosfery. Konse-

kwencje prowadzenia produkcji rolnej to nie tylko emisje, tj. metan z intensywnej produkcji zwierzęcej czy dwutlenek węgla uwalniany z gleby podczas uprawy pola, lecz także zmiana sposobu użytkowania gruntów: najczęściej wylesianie (nie-rzadko przez podpalenie) czy osuszanie terenów podmokłych, bagien i torfowisk. To również masowe zanieczyszczenia: wymywane z pól niewykorzystane nawozy i pozostałości środków ochrony roślin zanieczyszczają wody i powodują powstawanie martwych stref w morzach i oceanach. Wreszcie, produkcja rolna w dużej mierze

Produkcja rolna w dużej mierze odpowiada za masową utratę różnorodności biologicznej

odpowiada za masową utratę różnorodności biologicznej – gatunki giną, ponieważ znikają ich siedliska, przerywane są łańcuchy pokarmowe, a klimat się destabilizował.

Jak wybrnąć z potrzasku, kiedy zwolennicy dalszej industrializacji i intensyfikacji w rolnictwie szafują argumentem o konieczności wykarmienia wciąż rosnącej populacji globu? Dodatkowo pojawia się kwestia produkcji biomasy i biopaliw – coraz większa część upraw wcale nie jest przeznaczana na wyżywienie ludności, ale na pozyskanie „ekologicznej” energii potrzebnej do napędzania silników.

Dzielić czy oszczędzać?

Przez pewien czas w debacie na temat rozwiązania problemów środowiskowych generowa-

nych przez rolnictwo pojawiały się dwie alternatywne koncepcje: *land sharing* vs. *land sparing*. Pierwsze z rozwiązań zakłada „dzielenie się terenem” – ekstensywną (prowadzoną na dużym terenie, ale bez konieczności całkowitego przekształcenia go) produkcję rolną, w której wytwarzanie żywności odbywa się w zróżnicowanym, wielofunkcyjnym i przyjaznym wobec różnorodności biologicznej krajobrazie. W drugim modelu teren jest „oszczędzany” – dzięki temu, że produkcja rolna jest maksymalnie zintensyfikowana, udaje się uzyskiwać wyższe plony niż w rolnictwie ekstensywnym,

a zatem więcej terenu daje się zachować dla „dzikiej przyrody”.

A jednak nawet te koncepcje się nie sprawdzają. Jednym z największych problemów, z którymi mierzy się obecnie rolnictwo przemysłowe, jest jego brak odporności na zmianę klimatu. Dla monokultury – czyli upraw, w których na dziesiątkach hektarów ziemi występuje ta sama roślina, a krajobraz jest skrajnie ubogi, i w których populacji roślin zmienność genetyczna praktycznie nie istnieje – zagrożenie stanowi zmiana temperatury, rozkładu opadów czy pojawienie się nowej choroby lub szkodnika, na którego żadne rośliny nie będą odporne. Ponadto pozostaje też kwestia jakości ochrony, jaką można w takiej sytuacji zapewnić obszarom nieprodukcyjnym: po pierwsze, czy możliwa jest siedliskowa ochrona niewielkich

fragmentów lasów, łąk i mokradł, a po drugie, jak zapewniać ochronę obszarom, które uzna się za warte zachowania, jednocześnie nie ograniczając szans życiowych mieszkańców obszarów wiejskich, dla których eksploatacja takich terenów wiąże się z poprawą jakości życia.

Na wybór modelu rozwoju rolnictwa w Europie największy wpływ ma finansująca ją w dużej mierze Wspólna Polityka Rolna (pozycja ta stanowi ok. 1/3 unijnego budżetu). Obecnie przechodzi ona kolejną reformę. W pierwotnym założeniu miała spowodować dostosowanie europejskiego rolnictwa do celów Europejskiego Zielonego Ładu – polityki, która winna zapewnić osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r. W ramach planowanych zmian powstały strategię, które pozwalają myśleć o rolnictwie w szerszej perspektywie łańcuchów żywnościowych, priorytetyzując ochronę

różnorodności biologicznej czy pozwalają nie tylko na wygradzanie obszarów wiejskich poprzez dopłaty do rolnictwa, ale również na wzmocnienie ich wielofunkcyjności. Ostatnie tygodnie negocjacji pokazują jednak, że ambitne cele są zagrożone i mogą upaść pod presją dużych graczy europejskiego agrobiznesu, dla których prośrodowiskowe zmiany we Wspólnej Polityce Rolnej byłyby niekorzystne.

Innowacyjne alternatywy

W debacie zarówno europejskiej, jak i światowej (np. w dokumentach i raportach Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa, FAO) pojawiają się dwie różne, innowacyjne koncepcje transformacji rolnictwa, systemów żywnościowych i obszarów wiejskich: rolnictwo precyzyjne i agroekologia.

Rolnictwo precyzyjne to model wspomagany komputerowo, w którym w oparciu o zbieranie danych dotyczących upraw można optymalizować nakłady na produkcję (nawozy, środki ochrony roślin i wodę) dla uzyskania największych plonów przy jednoczesnej minimalizacji strat niewykorzystanych preparatów, a zatem i zanieczyszczeń przedostających się do środowiska. Agroekologia natomiast jest całościową wizją transformacji systemów produkcji i dystrybucji żywności w duchu suwerenności żywnościowej, której istotą jest prawo do żywności (w opozycji do żywności jako towaru) produkowanej w sposób środowiskowo zrównoważony i społecznie odpowiedzialny.

Pierwsza z wymienionych koncepcji jest realną szansą na zmniejszenie kosztów ekologicznych produkcji żywności. To jednak rozwiązanie wymagające sporych inwestycji,



Il.: Yves Bernardi z Pixabay

a przez to dostępne bardziej dla dużych, towarowych gospodarstw. To także opcja, w której agrobiznesowe korporacje, takie jak Bayer, Cargill czy Syngenta, gromadzą nieskończoną ilość danych na temat gospodarstw i produkcji, co natychmiast przekłada się na ofertę dostosowaną do potrzeb rolnika. Mowa o rolniku, choć w tym systemie docelowo zmienia się on w pracownika najemnego.

Jednym z największych problemów, z którymi mierzy się obecnie rolnictwo przemysłowe, jest jego brak odporności na zmianę klimatu

Nie jest gospodarzem, lecz podwykonawcą – zakontraktowuje się uprawę, agropremysł dostarcza nasiona, technologię, nawozy i środki ochrony roślin, a na końcu odbiera produkt. Rolnik daje swoją pracę. Podobnie jest w produkcji zwierzęcej, gdzie w zoptymalizowanym łańcuchu wartości opłaca się sprowadzić do Polski zwierzęta na kilka miesięcy tuczenia przy pomocy pasz opartych na poekstrakcyjnej śrucie sojowej* produkowanej w Ameryce Południowej. Hodowla jest produkcją, zaś optymalizacja wciąż wyklucza dobrostan zwierząt i sprawia, że w krajobrazie powstają kolejne instalacje, koło których nikt nie chce mieszkać.

Agroekologia jest modelem rolnictwa, w którym uprawia się rośliny i hoduje zwierzęta w oparciu i z wykorzystaniem relacji zachodzących w ekosystemach. Dążenie do gospodarowania w zamkniętych obiegach (wody, materii czy energii) ma zapewnić trwałość produkcji: agroekologia kładzie nacisk

na łączenie produkcji roślinnej i zwierzęcej, co pozwala karmić zwierzęta własnymi paszami, a ich odchody wykorzystać do utrzymania żyzności gleby. W tym podejściu kluczowe dla zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego jest zagwarantowanie trwałości możliwości produkcyjnych – różnorodność biologiczna (i agroróżnorodność) sprzyja naturalnym mechanizmom ochrony przed

szkodnikami i chorobami, a żyzna gleba jest magazynem węgla atmosferycznego i znakomicie retencjonuje wodę. Rolnictwo jest drobne i różnorodne, a obszary wiejskie są również wielofunkcyjne – zróżnicowany i bogaty w naturalne zbiorniki wodne krajobraz rolniczy jest przyjaznym miejscem do życia i wypoczynku. Wieś dostarcza dóbr publicznych i jest za to wynagradzana

Te dwa innowacyjne podejścia, które pojawiają się w unijnych oraz ONZ-owskich dokumentach i analizach, nie wykluczają się. Warto nie ulegać schematycznemu myśleniu, które postrzega agroekologię jako wizję być może kuszącą, ale całkowicie anachroniczną, zaś rolnictwo precyzyjne jako racjonalną konieczność. Możliwe, że rolnictwo nie musi wpisać się w długą tradycję bezrefleksyjnej pogoni cywilizacyjnej za Zachodem, ale szukać rozwiązań prawdziwie przełomowych – szczególnie w czasach, w których patriotyzm krajobrazu staje się jedynym możliwym

Dariusz Jakubowski

Medycyna przyszłości – mariaż nowoczesności z tradycją?

Koronawirus SARS-CoV-2 uświadomił wielu jednostkom i całym grupom konieczność zmian w wielu sferach życia i postrzegania go w większym stopniu jako całość. Nie powinniśmy się oczywiście ludzić, że dzięki temu nastąpi przełom; że ludzie będą mniej egoistyczni, a technologia nas zbawi i wprowadzi do utopijnego świata przyszłości. Niemniej coraz więcej wskazuje na to, że wchodzimy właśnie w nową epokę medycyny. Dzieją się bowiem rzeczy spektakularne, a przyszłość właściwie ma miejsce już teraz.

Byłe do przodu i zawsze w górę?

W ostatnich latach pojawił się pewien problem: w wielu krajach zachodnich, na przykład w USA, Wielkiej Brytanii, jak również w Polsce, odwróceniu ulega trend wzrostu oczekiwanej długości życia. Przyczyny są oczywiście różne, ale dominują wśród nich zapaść publicznej ochrony zdrowia, epidemia otyłości, nowotworów czy stale pogarszający się stan środowiska. Jest to kolejny cios zadany wizji liniowego rozwoju, w którym nasze społeczeństwa miały być już tylko zdrowsze i żyć w coraz lepszym świecie.

Być może jednak następuje swego rodzaju otrząśnięcie się z tego dość jednostronnego

wyobrażenia i wchodzimy właśnie w okres ogromnych zmian. Pierwsze jaskółki widać już w Stanach Zjednoczonych wraz z początkiem prezydentury Bidena (wspominał o tym choćby Michał Zabdyr-Jamróż w numerze poświęconym zdrowiu). Bank Światowy stwierdza jednoznacznie: jeśli chodzi o finansowanie opieki zdrowotnej, celem nie powinien być powrót do stanu sprzed pandemii. Wyjście z kryzysu zdrowotnego, wraz z leczeniem skutków izolacji, będzie możliwe wyłącznie dzięki finansowaniu nie tylko nastawionemu na rozwiązywanie doraźnych problemów, ale także wybiegającemu daleko w przyszłość, które będzie przy tym bardziej solidarne i sprawiedliwe. Tak się składa, że przynajmniej częściową realizację tych intencji może ułatwić kilka zmian technologicznych o isticie rewolucyjnym charakterze, które właściwie już są widoczne na horyzoncie.

Paradoksalne korzyści z pandemii

Pandemia ukazała nam wiele kwestii, które w najbliższych latach będziemy musieli szybko przyswoić, tak by zmienić się na lepsze. Być może najcenniejszą nauką jest niepodważalny fakt, że warto inwestować w badania biomedyczne.

W wielu krajach zachodnich, na przykład w USA, Wielkiej Brytanii, jak również w Polsce, odwróceniu ulega trend wzrostu oczekiwanej długości życia

Technologia mRNA powstała na przestrzeni ostatnich 30 lat i choć nie brakowało środków na jej rozwój, to nie było możliwości sprawdzenia jej w warunkach, które ponad wszelką wątpliwość udowodniłyby jej gigantyczny potencjał. Owszem, prowadzono badania

nad bazującymi na niej szczepionkami, które mogłyby pomóc w zapobieganiu wirusom HIV/AIDS, Ebola, Zika, a także wielu nowotworom (np. sporej liczbie rodzajów czerniaków), ale były one rozproszone, a finansowanie nie zawsze było dostateczne; problem stanowiły też często kwestie proceduralne. Wraz z powodzeniem szczepienia przeciwko SAR-

S-CoV-2 ewentualne wątpliwości co do zasadności inwestowania w tę technologię mogą zniknąć, a to będzie oznaczało zielone światło dla kolejnych badań i, być może, przeznaczenie na nie ogromnych środków.

Wyeliminowanie wymienionych i potencjalnie wielu innych



Il. adege z Pixabay

chorób rzecz jasna oznaczałoby ogromny krok naprzód. Pokonanie nowotworów, jednej z największych plag naszych czasów, to Święty Graal medycyny. Szczepionki mRNA, rozwijane przez lata, również w Polsce przez naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego, w dużej mierze właśnie temu miały służyć. Ostatnie badania potwierdzają też użyteczność technologii RNA

Akademia coraz bardziej docenia możliwości, jakie daje nam przyroda

w terapii chorób autoimmunologicznych i genetycznych, takich jak stwardnienie rozsiane czy rdzeniowy zanik mięśni (SMA). Na tym nie koniec: istnieją już leki na bazie tej technologii, niebędące szczepionkami, które zwalczają... podwyższony poziom cholesterolu we krwi. Wykorzystują one właściwie odwrotny mechanizm niż w przypadku szczepionek. Podczas gdy szczepionki sprawiają, że organizm zaczyna produkować białka służące rozpoznawaniu wirusa przez układ odpornościowy, w przypadku leków takich jak inkisiran organizm blokuje produkcję białka odpowiedzialnego za wzrost stężenia cholesterolu.

Więcej przedsiębiorczego państwa w medycynie

Oczywiście w dłuższej perspektywie oznacza to eliminację bądź przynajmniej znaczące ograniczenie najbardziej dotkliwych chorób, z jakimi wciąż musimy się mierzyć. Co jednak najistotniejsze w tej układance, nie można pozwolić na to,

by koszty leczenia przy użyciu tych środków szybowyły w górę. Nie można dopuścić do sytuacji analogicznej do tej z USA, gdzie co czwartego cukrzyka nie stać na zakup insuliny. W połączeniu z faktem, że system medyczny w tym kraju jest w znacznej mierze prywatny, oznacza to, że ludzie po prostu umierają na chorobę, którą właściwie można w pełni kontrolować. Dla-

tego też sama rewolucja medyczna nie musi automatycznie oznaczać poprawy dobrostanu całych społeczeństw. Oczywiście tak być powinno, tym bardziej że technologia ta nigdy by nie zaistniała, gdyby nie finansowanie ze środków publicznych. Odstąpienie jej nigdy jednak nie powinno być całkowite.

Zastosowanie inżynierii genetycznej w medycynie może być zresztą znacznie szersze. Oprócz niej trwają bardzo zaawansowane prace nad medycznymi zastosowaniami nanotechnologii, robotyki, modelowania matematycznego i sztucznej inteligencji w medycynie czy w końcu telemedycynie. Szczególnie rozwój tej ostatniej znacznie przyspieszył właśnie dzięki pandemii. W Polsce przed każdą z tych dziedzin rysują się obiecujące perspektywy – mamy doskonałych specjalistów i odpowiednią bazę, na której powinniśmy je rozwijać. Idealnym przykładem jest chociażby rodzina robotów kardiochirurgicznych Robin Heart, która wykorzystuje wiedzę zgromadzoną w Polsce od czasów Zbigniewa Religi,

a także tworzone na śląskich uczelniach doskonale zaplecze techniczne i know-how.

Innowacje albo tradycja? Falszywa alternatywa!

Zaawansowane technologie to jednak niejedyny kierunek rozwoju. Coraz częściej sięgamy także po liczącą setki, jeśli nie tysiące lat wiedzę medyczną znaną kulturom z całego świata. Akademia coraz bardziej docenia możliwości, jakie daje nam przyroda.

Na przykład w ostatnich latach widać rosnące zainteresowanie dość niedocenianą dziedziną wiedzy, w której potencjalnie kryje się mnóstwo możliwości, także związanych z medycyną. Chodzi o mykologię – naukę o królestwie grzybów. Według szacunków samych mykologów do tej pory odkryto zaledwie 6–8% wszystkich gatunków. Tymczasem nawet te, które znamy, wykazują o wiele ciekawsze właściwości, niż zwykliśmy sądzić. Na przykład do niedawna pokutował mit na temat grzybów jadalnych, jakoby nie miały one żadnych znaczących wartości odżywczych, a korzyści z ich spożycia polegały wyłącznie na walorach smakowych. Dzisiaj wiemy już, że grzyby posiadają mnóstwo cennych właściwości, a w dodatku ciągle odkrywamy nowe. Jednak dopiero zaczynamy poznawać nie tylko kulinarne, ale i medyczne możliwości grzybów. Narody Azji wiedziały o nich znacznie wcześniej, stosując m.in. soplówkę jeżowatą, wrośniaka różnobarwnego (już teraz wykorzystywanego do produkcji leków przeciwnowotworowych), twarznika japońskiego (znanego również jako shiitake)

i wiele innych. Dość skromne do tej pory zainteresowanie grzybami jest o tyle dziwne, że kilka z nich, często dość przypadkowo, zyskało w medycynie duże znaczenie. Jeden z najważniejszych leków w historii, penicylina, jest uzyskiwany przy użyciu pleśni *Penicillium*. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że dzięki innym grzybom byłoby możliwe stworzenie nowych generacji antybiotyków, które pomogłyby nam w zwalczaniu bakterii antybiotykoopornych, które wymienia się wśród najważniejszych zagrożeń zdrowotnych przyszłości.

Już teraz leków pochodzących z grzybów używa się do obniżania poziomu cholesterolu, zapobiegania odrzucaniu przeszczepów czy w leczeniu niektórych nowotworów. Do tego pozyskiwana z grzybów psylocybina doskonale sprawdza się w psychoterapii, leczeniu depresji, zespołu stresu pourazowego i uzależnień. Jest niemal pewne, że większe pieniądze skierowane na badania w tej dziedzinie doprowadziłyby do przełomowych wyników i pomogłyby nam tworzyć tanie, pozyskiwane etycznie, niezwykle skuteczne leki. Spora liczba wspomnianych przeze mnie substancji powstała na bazie wymienionych wyżej grzybów znanych w tradycyjnej medycynie Chin czy Japonii. Oczywiście to tylko przykład, którym chciałem zilustrować szersze zjawisko. Wyobraźmy sobie choćby, ile potencjalnych medycznych skarbów kryją w sobie rośliny we wciąż słabo zbadanych lasach tropikalnych. Być może jest to kolejny powód, dla którego jeszcze bardziej powinniśmy je chronić.

Pokonanie nowotworów, jednej z największych plag naszych czasów, to Święty Graal medycyny

Czyżby więcej fałszywych alternatyw?

Te dwie drogi rozwoju medycyny mogą się doskonale uzupełniać. Taki obraz przyszłości w szerszej perspektywie wydaje się konieczny, by przetrwanie ludzkości było w ogóle możliwe. Z jednej strony, dlaczego mielibyśmy rezygnować ze zdobyczy nauki w obliczu potencjalnie katastrofalnych zmian, które już mają miejsce? Z drugiej: dlaczego

Warto szukać czegoś pomiędzy technoutopią a ruchami proponującymi radykalny powrót do natury

mamy wierzyć, że sama nauka nas zbawi, skoro już wielokrotnie widzieliśmy, jak zawodziła w rozwiązywaniu bardziej złożonych problemów? Może warto szukać czegoś pomiędzy technoutopią a ruchami proponującymi radykalny powrót do natury? Być może rzeczywiście potrzebujemy trochę utopijnego myślenia, ale takiego, które łączyłoby elementy tych dwu skrajności? Być może podejścia te są do pogodzenia ze sobą, a wręcz będą się uzupełniać. Przede wszystkim oba mają, czy przynajmniej mogą mieć, właściwie zbieżne cele. Przykładowo: po co mielibyśmy wybierać między energią jądrową a odnawialnymi źródłami energii, zaawansowaną technologią a tradycyjnymi rozwiązaniami technicznymi czy supernowoczesną biotechnologią a wiedzą o przyrodzie znaną od wieków? ♦

Paweł Miech

Czy kościoły faktycznie opustoszeją?

Pomimo przeciwności wiara w postęp trzyma się mocno. Często możemy przeczytać, że kościoły pustoszeją i że jest to trend nieuchronny. Publicyści piszą, że Kościół katolicki z pewnością będzie tracił na znaczeniu, a społeczeństwo prędkiej czy później stanie się bardziej liberalne, tolerancyjne i ateistyczne. Czy naprawdę tak się stanie? A może wiara w postęp i zniknięcie religii w przyszłości jest równie uzasadniona, co wiara w niepokalane poczęcie?

W postęp, co ciekawe, wierzą nie tylko lewicowi inteligenci, ale również osoby głęboko wierzące. Różnica polega na tym, że gdy jedni się z niego cieszą, to drudzy się go obawiają. Obie strony uznają jednak, że zmiany są nieuchronne. Kościół reaguje na nie aktywnie – mobilizuje wiernych i apeluje, by się bronić. Zwolennicy postępu natomiast cieszą się, że zmiany, jak uważają, będą się działy same. Nie trzeba nic robić, wystarczy czekać aż społeczeństwo samo się zliberalizuje i zlaicyzuje.

Z całą pewnością można znaleźć dowody na to, że laicyzacja postępuje. Nieco mniej osób niż kiedyś chodzi do kościoła, mniej dzieci uczęszcza też na religię. Są to jednak stosunkowo niewielkie zmiany w krótkim horyzoncie czasowym i niekoniecznie oznaczają odejście od samej religii. Poza tym z faktu, że w poprzed-

nich latach mniej osób chodzi na mszę, nie wynika wcale, że przez następne kilkanaście lat ten trend się utrzyma.

Wpływy Kościoła raczej rosą niż spadają

Jeśli spojrzymy na wpływy Kościoła z dłuższej perspektywy, zauważymy, że Polska w 2021 r. jest krajem dużo bardziej kleirykalnym niż była w roku 1989. Jest to widoczne np. w języku i sposobie myślenia – katolicki jest dziś znacznie silniej obecny niż wcześniej. O „nienarodzonych dzieciach” mówią dziś nie tylko wierzący/praktykujący, ale także osoby deklarujące centrowe poglądy. Wprawdzie w niektórych sondażach widać wzrost poparcia dla aborcji bez ograniczeń do 13. tygodnia ciąży, jednak wciąż jest ono niewysokie, a politycy nie wydają się tymi badaniami przejmować. Tylko dwie partie, Lewica Razem i SLD, otwarcie apelują o liberalizację represyjnego prawa aborcyjnego. Reszta co najwyżej pragnie powrotu do stanu prawnego sprzed ostatniego wyroku Trybunału Konstytucyjnego.

W wielu kwestiach widać regres w stosunku do PRL, nie postęp. Większość dzieci, która chodziła na lekcje religii w 2019/2020 r., była miążdżąca – wynosiła 87,6%. Z kolei w 2018/2019 było to 88% (dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego). Ktoś, kto wierzy w postęp, może zakrzyknąć: *Wspaniale! Spadek o 0,4%. Za 200 lat będzie zero!* Problem w tym, że w 1989 r. na lekcje religii w szkołach nie chodziło żadne dziecko, bo ich tam po prostu nie było. Trudno więc uznać, że dokonał się w tej kwestii jakikolwiek progres.

Astrologia zamiast katolicyzmu? Brzmi OK, ale to nie postęp

Trudno też uznać, by odchodzenie od katolicyzmu zawsze było postępowaniem i prowadziło do tego, że ludzie stają się bardziej rozumni. Oświeceniowy mit zakłada, że jeśli wpływ Kościoła na życie spada, to rośnie racjonalność społeczeństwa. Nie do końca tak jest – odchodzenie od jednej religii wiąże się z rozpowszechnianiem innych kultów czy wyznań, a nie z zanikiem religijności jako takiej.

Przykładem jest wzrost popularności astrologii. Nie należy jej uznawać za coś złego – wiara we wpływ gwiazd na nasze życie jest równie racjonalna, jak wiara w to, że człowiek o imieniu Jezus dotknął znajomego Łazarza i ten ożył. Nie ma logicznych powodów, by wierzyć, że gwiazdy wpływają na nasze życie, tak samo jak nie ma racjonalnych powodów, by wierzyć w cuda. W pluralistycznym społeczeń-

stwie jest miejsce zarówno dla osób wierzących w horoskopy, jak i dla katolików. Żadna grupa nie powinna być dyskryminowana czy wyśmiewana. Trudno jed-

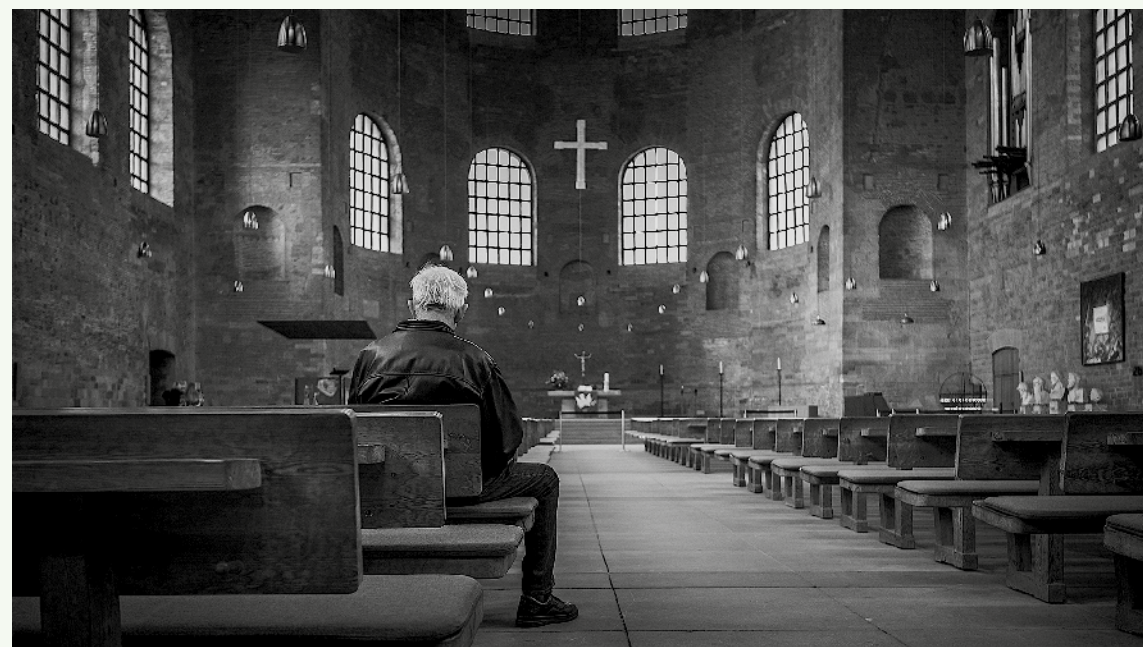
O „nienarodzonych dzieciach” mówią dziś nie tylko wierzący/praktykujący, ale także osoby deklarujące centrowe poglądy

nak uznać odchodzenie od katolicyzmu do astrologii za postęp – raczej jest to przechodzenie z jednej religii do innej, a w miejsce Jezusa pojawia się tarot. To jest OK, ale nie oznacza zwiększonej racjonalności.

Uwzględniając taki pluralizm, innym problemem zwolenników postępu jest demonizacja każdej religii chrześcijańskiej, zwłaszcza katolicyzmu, bez wzięcia pod uwagę faktu, że religia odpowiada na różne potrzeby i sama jest wewnętrznie zróżnicowana. Polski katolicyzm nie stanowi jedności – jest wielu katolików i wiele środowisk kato-

lickich. Nie wszystkie są identyczne i nie wszystkie są nietolerancyjne. Istnieją z pewnością nietolerancyjni katolicy, lecz nie ma sensu demonizowanie każdej

osoby wierzącej. Łatwo atakować biskupa Jędraszewskiego za jego niemądrą wypowiedź o „ideologii gender”, lecz trudniej uznać, że wiele wierzących katoliczek wcale nie podziela jego opinii, a nawet jest skłonna akceptować związki partnerskie czy sprzeciwiać się patriarchalnej przemocy wobec kobiet. Inną sprawą jest to, że część ludzi odczuwa silną więź emocjonalną z Kościołem nawet jeśli nie zgadza się z pewnymi wypowiedziami czy działaniami niektórych jego hierarchów. Wiele osób ma potrzebę istnienia Kościoła i nie wydaje się, by miała ona zniknąć.



Il.: Free-Photos z Pixabay

Kościół będzie się zmieniać, a nie zanikać

Bardzo wątpliwa wydaje się wiara w to, że katolicyzm w Polsce kiedyś zniknie, a Kościół całkowicie utraci władzę nad umysłami. Kościół przetrwał prawie 2000 lat, więc trudno zakładać, by nagle miał zniknąć akurat po 2021 r. Raczej bardziej prawdopodobne wydaje się to, że katolicyzm będzie się zmieniać. Siły nabiorą wewnętrzne konflikty pomiędzy bardziej liberalnie a bardziej konserwa-

Wiele osób ma potrzebę istnienia Kościoła i nie wydaje się, by miała ona zniknąć

tywnie nastawionymi grupami. Ten proces ma miejsce dziś i miał miejsce w przeszłości, więc zapewne nie inaczej będzie w przyszłości.

Mówiąc o przyszłości religii nie sposób zapomnieć o tym, jak funkcjonuje ona w systemie globalnego kapitalizmu. Kościół jest jedną z niewielu instytucji, która nie ulega logice wolnego rynku, podczas gdy większość dziedzin życia jest urynkowiona. Na rynku pracy jesteśmy towarem, zasobem ludzkim, a praca jest sprzedawaniem tego zasobu. Po pracy jesteśmy konsumentem i płacimy za zapewnienie sobie przyjemności. Trudno znaleźć obszary wolne od logiki wymiany towarów.

Religia jako jedna z niewielu instytucji daje coś w rodzaju ucieczki od tej logiki. Jak pisał Marks, jej działanie jest podobne do opium. W XIX w. było ono bardzo drogim narkotykiem, do którego robotnicy nie mieli dostępu. Rolę opium zdaniem Marksa pełniła więc

religia – zapewniała ucieczkę od nieznośnej, wyczerpującej codzienności. Chwilowa możliwość ucieczki sprawia, że po powrocie do rzeczywistości jesteśmy bardziej skłonni ją akceptować. W ciągu tygodnia trzeba pracować, aż w końcu nadchodzi weekend. Bogatsi mogą sobie pozwolić na zakup prawdziwych narkotyków, nie tylko kokainy czy opium, ale na przykład rytuałów Ayahuasca. Praktyka ta polega na tym, że gdzieś w Ekwadorze lub innym kraju Ameryki

Łacińskiej (a za mniejszy koszt w Warszawie) można wziąć udział w rytuale rdzennych plemion sprzed wieków. W jego trakcie, za odpowiednio wysoką opłatą, można zażyć specyfiki halucynogenne w obecności szamana. Tego typu rozrywka oczywiście nie jest dostępna bez odpowiedniego stanu środków na koncie. Uboższym pozostaje wizyta w kościele i zapach kadzidła. Rosnące nierówności społeczne powodują zatem, że religia raczej z nami zostanie, a nie odejdzie w przeszłość.

Wiara w postęp jest mitem, jednak uznanie go nie prowadzi do pesymizmu. Wręcz przeciwnie: jako że postępu nie ma, nie ma też sensu siedzieć z założonymi rękami i czekać na to, co nieuchronne. Zmiany nie nadejdą same, a nawet jeśli nadejdą, to mogą się okazać zmianami na gorsze, a nie na lepsze. Jeśli faktycznie pragniemy poprawy, to najlepiej byłoby nie wierzyć w postęp, a po prostu działać. ♦

Barbara Słania

Technologie jutra (dla wybranych)

Nowe technologie, wbrew powszechnemu przekonaniu, wcale nie likwidują barier w dostępie do towarów i usług. Przez cały czas ograniczają go bariery kompetencyjne, finansowe czy przestrzenne i niewiele wskazuje na to, by miały one zniknąć w bliskiej przyszłości. Cyfrowy świat, w którym wszystko jest na wyciągnięcie ręki (czy raczej: na jedno kliknięcie), dla większości ludzi jeszcze długo będzie tylko pustym sloganem.

Może ciężko w to uwierzyć, ale wciąż istnieją ludzie, którzy nie używają kart płatniczych, spisują rozkłady autobusów z tabliczek na przystankach lub kupują wydrukowane w kioskach, a o rozkładach w Internecie czy aplikacjach typu Jakdojade zapewne nigdy nie słyszeli. Wyobraźcie sobie osobę w wieku przedemerytalnym, która dość regularnie jeździ na trasie kilkuset kilometrów do swojej rodziny PKS-em (zawsze tym samym) lub wydaje kilkaset złotych na taksówkę, jeśli sytuacja jest nagła, a PKS akurat nie jedzie. To może brzmieć abstrakcyjnie, ale taka osoba istnieje i ma na imię Grażyna. Mogłaby dotrzeć tam za mniej niż połowę ceny Flixbusem czy pociągiem z przesiadką, ale zaplanowanie tej podróży online i kupienie biletów w aplikacji przerasta ją kompetencyjnie. Możecie też wyobrazić sobie osobę,

która w obcym mieście woli codziennie przez dwa tygodnie czekać trzy godziny pod przychodnią na bezpośredni autobus do domu, bo jazda z dwiema przesiadkami ją przerasta. To Danuta, siostra Grażyny.

Wykluczenie cyfrowe nie dotyka jedynie mitycznej prowincji, którą wyobrażamy sobie jako skrzyżowanie Podlasia z Syberią

To oczywiście prawda, że ten sam świat, w którym żyją Grażyna i Danuta, ciągle się zmienia i rozwija. Nowoczesne technologie obiecują ułatwienie życia w niemal każdej jego sferze. Pandemia pokazała, że wiele naszych aktywności możemy przenieść w przestrzenie wirtualne – wiele spotkań, sympozjów i konferencji, także międzynarodowych, odbyło się zdalnie, co umożliwiło wzięcie w nich udziału także osobom oddalonym o tysiące kilometrów od miejsca wydarzenia. Lubimy ulegać wrażeniu, że zmiany te dotyczą wszystkich i wszędzie, a Grażyna jest ostatnią Mohikanką epoki kartki i długopisu.

Faktycznie, dziś za pośrednictwem Internetu można nie tylko zamówić pizzę i zarezerwować kolejkę po odbiór dowodu rejestracyjnego w urzędzie, ale i umówić się na spotkanie z doradcą klienta w wirtualnym salonie i kupić samochód, a nawet przejść rozmowę kwalifikacyjną do pracy w Amazonie. Tylko co z tego, skoro później, po podpisaniu umowy, trzeba skanować towary w magazynie już na miejscu? Towary zamawiane online do paczkomatów lub kurierem też nie pojawiają się w nich same – ktoś musi wyko-

nać tę niewdzięczną pracę i nam je fizycznie dostarczyć. Podział na osoby mogące pracować zdalnie i te, którym nie jest dany ten przywilej, ma się doskonale.

W tym miejscu warto się na chwilę zatrzymać przy dwóch

niezwykle ważnych sferach życia: edukacji i zdrowiu. Nauczanie na wszystkich poziomach w znacznym stopniu przeniosło się do sieci, co jednak niekoniecznie cieszy ani uczących się, ani tych nauczających (a w przypadku najmłodszych uczennic i uczniów także ich najbliższych). Kolejnym ciekawym zjawiskiem jest funkcjonowanie świadczeń medycznych w wersji

zdalnej, częściowo wymuszone pandemią, a częściowo już wcześniej obowiązującymi przepisami. O ile prywatne przychodnie wystawiają recepty zdalnie i za niemałą opłatą (niemal wyłącznie zresztą na antykoncepcję, w tym awaryjną – co wiele mówi o dostępie do niej – która cieszy się sporą popularnością), o tyle medycyna w postaci pandemicznych teleporad NFZ zamiast bezpośredniego kontaktu między pacjentem a lekarzem jest powszechnie krytykowana. Oczywiście powyższe przykłady niezadowolonych z przeniesienia usług publicznych do przestrzeni wirtualnych można w tym przypadku wiązać z ich niedofinansowaniem oraz nagłym charakterem tej zmiany, wymuszonej sytuacją epidemiczną. Jednocześnie wiele mówi o barierach, jakie ze sobą niosą dla części użytkowników.



Il.: rupert B. z Pixabay

Ciocia Halinka życzy smacznej kawusi

Jeśli macie konto na najpopularniejszym portalu społecznościowym i śledzicie posty na grupach lokalnych, zapewne kojarzycie osoby zadające proste pytania: *Do której czynny jest sklep X? Jaki jest telefon do urzędu? Jak dojadę do dworca? Aż chce się czasem zapytać: czy te osoby nie mają Google'a i nie wiedzą, że istnieją setki serwisów i aplikacji poświęconych transportowi? Problem jest jednak nieco bardziej skomplikowany.*

Z wykluczeniem cyfrowym jest podobnie jak z analfabetyzmem: owszem, choć trudno w to uwierzyć, wciąż są osoby, które nie potrafią czytać i pisać, także w Polsce. Ale to nie one stanowią tę wielką grupę, która ma problem z wyszukiwaniem informacji online. Wykluczenie cyfrowe nie dotyka jedynie mitycznej prowincji, którą wyobrażamy sobie jako skrzyżowanie Podlasia z Syberią, gdzie kończy się asfalt, a ludzie noszą w wiaderkach prąd. Osoby o różnym poziomie kompetencji cyfrowych mieszkają obok nas i lepiej lub gorzej korzystają z tych samych urządzeń i technologii. Często mamy w rodzinach osoby ze starszego pokolenia, którym telefon służy do dzwonienia, a od biedy do wysłania SMS-a czy ustawienia budzika; których aktywność na portalach społecznościowych budzi lekkie rozbawienie, a bywa, że i zażenowanie młodszego pokolenia – te wszystkie brokatowe gify z napisem „Super” i ustawiane statusy „Miłego wieczoru wszystkim” czy „Smacznej kawusi”, nierzadko z kiczowaty-

mi obrazkami o mocno zaburzonych proporcjach i ostrości, zrekomensowanych sporą ilością brokatu. W tym miejscu warto się zatrzymać i zrobić sobie rachunek sumienia: czy sami i same wykorzystujemy wszystkie funkcjonalności naszych smartfonów i smartwatchy? Niekoniecznie, prawda?

Sprowadzenie możliwości pełnego korzystania z nowych technologii wyłącznie do kompetencji cyfrowych to zresztą spore uproszczenie. Jeśli mieszkamy w Warszawie lub w innym dużym mieście, może nam się wydawać,

Nie ma etycznej konsumpcji w kapitalizmie

że mamy świat na wyciągnięcie ręki i możemy przebierać w ofertach kulturalnych, transportowych, zakupowych i kulinarnych z całego świata. Pojedźmy jednak do Pcimia, Gorzyc, Kołaczkowic czy Parzymiechów, a przekonamy się, że ani Uber Eats, ani Glovo nie dowiozą nam tybetańskich pierożków, a w niedzielę jedyna taksówka w gminie przyjedzie po nas, jak kierowca zje obiad z rodziną.

Ubera naszego powszedniego?

Ostatnio modnym terminem stała się „ekonomia współdzielenia”. Brzmi bardzo nowoczesnie, oszczędnie i ekologicznie. Diabeł, jak zawsze, tkwi w szczegółach. Abstrahując od etyki korzystania z Ubera jako alternatywy dla taksówek czy którejś z platform do zamawia-

nia posiłków z dowozem – jeśli z nich korzystamy, oznacza to, że mieszkamy w dużym mieście lub ewentualnie na obrzeżach aglomeracji.

Niedawno w Polsce pojawiły się dwie aplikacje na smartfony mające zapobiegać marnowaniu żywności: Too Good To Go i Foodsi. Ich idea jest jak najbardziej słusza, a sam mechanizm działania prosty – opiera się na łączeniu ze sobą sklepów i restauracji mających niesprzedane produkty z klientami gotowymi je kupić, zazwyczaj w formie paczki-niespodzianki i w znacząco obniżonych cenach (co najmniej o połowę, a bywa, że nawet o 1/3). Trochę jak sklep socjalny, ale zamiast jednego punktu w mieście, do którego trzeba się udać z zaświadczeniem z MOPS-u (jak to działa w Katowicach), mamy sieć wielu punktów gastronomicznych w całym kraju. Kiedy jednak spojrzymy na grupy użytkowników portali społecznościowych, zauważymy, że dominują na nich osoby raczej młode, traktujące aplikację jako narzędzie do polowania na kulinarne perełki (np. zestaw ciast z drogiej, hipsterskiej kawiarni za 11,99 zł zamiast 36 zł), a nie klienta socjalna.

Zanim popadniemy w zachwyty, że oto pojawiła się rzecz, na którą czekaliśmy, warto spojrzeć na mapkę. W dużych miastach znajdziemy setki punktów współpracujących z aplikacją, ale im mniejsza miejscowość, tym bardziej ich liczba się zmniejsza. Poza centrum działa w zasadzie tylko jedna z sieci supermarketów i jedna sieć stacji benzynowych. Cóż, losowo wybranymi słodyczkami, izotonicami czy gotowymi kanapkami

ze stacji rodziny raczej nie wykarmimy.

Nie można zaprzeczyć, że być może aplikacja w jakimś zakresie zapobiega marnowaniu żywności. Pytanie tylko, czy pierogi z datą przydatności do jutra i np. pięć identycznych jogurtów bardziej nie przydałyby się mieszkającej obok sklepu staruszce ze skromniutką emeryturką niż 30-latce „polującej” na wegeokazje w necie. Cóż, mówi się, że nie ma etycznej konsumpcji w kapitalizmie. Efekt, jaki dają wspomniane aplikacje, jest najlepszym dowodem na poparcie tej tezy.

Socjologia posługuje się pojęciem efektu św. Mateusza, który mówi o bogaceniu się bogatych i ubożeniu biednych: *Albowiem wszelkiemu mającemu będzie dano, i obfitować będzie, a temu, który nie ma, i to, co się zda mieć, będzie wzięto od niego.* W posługiwaniu się nowymi technologiami jest podobnie. Jeśli korzystamy ze Skype'a, Zooma, Microsoft Teams i GoToMeeting, pewnie bez problemu obsłużymy kolejną tego typu aplikację, wybierzemy najtańszy przejazd i zrobimy zakupy z rabatami po porównaniu oferty wielu sklepów.

Jeśli mamy zaś niskie kompetencje cyfrowe, na zakupy pojedziemy do najbliższego sklepu i prawdopodobnie przepłacimy. A jeśli nawet sprawnie poruszamy się w świecie wirtualnym, ale mieszkamy na tzw. prowincji, może się okazać, że nikomu nie opłaca się dostarczać nam swoich nowatorskich produktów czy rozwiązań. Optymistycznie można przyjąć, że choć nie dojedzie do nas Uber Eats czy Wolt, to przynajmniej nie ryzykujemy potrącenia elektryczną hulajnogą. ♦

Podział na osoby mogące pracować zdalnie i te, którym nie jest dany ten przywilej, ma się doskonale

Bartosz Migas

Ochrona danych osobowych to opowieść o wojnie

Nasze dane osobowe są częścią cyfrowej rzeczywistości i choć upowszechnia się świadomość zagrożeń, jakie wiążą się z nowoczesnymi technologiami, to nadal nie poświęca im się wystarczająco dużo uwagi. Ochrona naszej prywatności w sieci to nie opowieści o technologicznych nowinkach dla nielicznych, lecz arena

wojny, której stawką jest przyszłość praw człowieka. Walki toczą się tu i teraz pomiędzy megakorporacjami a różnymi państwami i organizacjami, które próbują choć w części okiełznać dziki Internet. Jako obywatelki i obywatele

Rozporządzenie RODO nie jest unijną fanaberią, ale ważnym elementem kluczowej walki, której stawką jest nasza prywatność

musimy wiedzieć, co się dzieje, bo w przeciwnym razie możemy przegrać swoją przyszłość.

Wraz z wejściem w życie ogólnego rozporządzenia unijnego o ochronie danych osobowych* (tzw. RODO) w naszej przestrzeni zaroilo się od klauzul, formularzy i polityk prywatności, które przy każdej czynności informują nas, kto jest administratorem naszych danych osobowych, jakie

to dane i w jakim celu są zbierane. Z jednej strony wiele osób uznaje to za zbędne zawracanie głowy. Dla klientek i klientów jest

to męczące, dla biznesu kosztowne i uciążliwe. Przede wszystkim zaś jest to bezsensowne, bo żadnej prywatności w XXI w. nie ma i nie będzie, a jedyna szansa na bycie pozostawionym w spokoju to udanie się do pustelni w niedostępnych górach, jedzenie jagód i picie wody z potoku, z dala od Internetu. Z drugiej strony osoby, które pogodziły się z nieuniknionym i całodobowym śledzeniem w cyfrowym świecie, uważają, że ich dane nie mają żadnego znaczenia, a ich tożsamość jest nieistotna i nikomu niepotrzebna. Wierzą, że ich brak znaczenia zapewnia im bezpieczeństwo. Obie te grupy po części mają rację i jednocześnie obie się mylą.

Rozporządzenie RODO nie jest unijną fanaberią, ale ważnym elementem kluczowej walki, której stawką jest nasza prywatność i nasze prawo do bycia pozostawioną i pozostawionym w spokoju. To starcie, którego wynik wyznaczy zarówno zakres praw i wolności człowieka, jak i środki do ich realizacji.

Witamy w cyfrowym świecie – twoje dane już tu są

Postawmy sprawę jasno: twoje dane już są w świecie cyfrowym, czy ci się to podoba, czy nie. Nie ma znaczenia, czy błyszczysz w social mediach, czy też nigdy nie miałaś telefonu w ręku. Nieistotne, czy masz skrzynkę pocztową, Internet, czy kiedykolwiek dotykałaś klawiatury. W dzisiejszych czasach dane są masowo przenoszone w przestrzeń cyfrową – nie do serwera zamkniętego gdzieś w podziemiach tej czy innej firmy, lecz coraz częściej do nowoczesnej serwerowni cyfrowego giganta dostarczające-

go rozwiązań chmurowych, gdzie kłębią się dane miliardów ludzi z całego świata. Jeśli nie dzielisz się swoimi danymi samodzielnie odwiedzając strony internetowe, korzystając z telefonu podłączonego do Internetu, publikując swoje zdjęcia z wakacji czy robiąc zakupy przez aplikację mobilną, to twoje dane mógł tam wprowadzić dowolny urząd czy firma, która świadczy ci jakiegokolwiek usługi. Spółdzielnia mieszkaniowa, której płacisz czynsz, elektrownia dostarczająca prąd, bank realizujący przelew czy poczta dostarczająca ci rentę lub emeryturę do rąk własnych – każdy z tych podmiotów przeniósł lub w najbliższym czasie przeniesie swoje bazy danych i historię rozliczeń

Niewidzialne ucho rynku bardziej mnie martwi niż szpiega szkiełko i oko

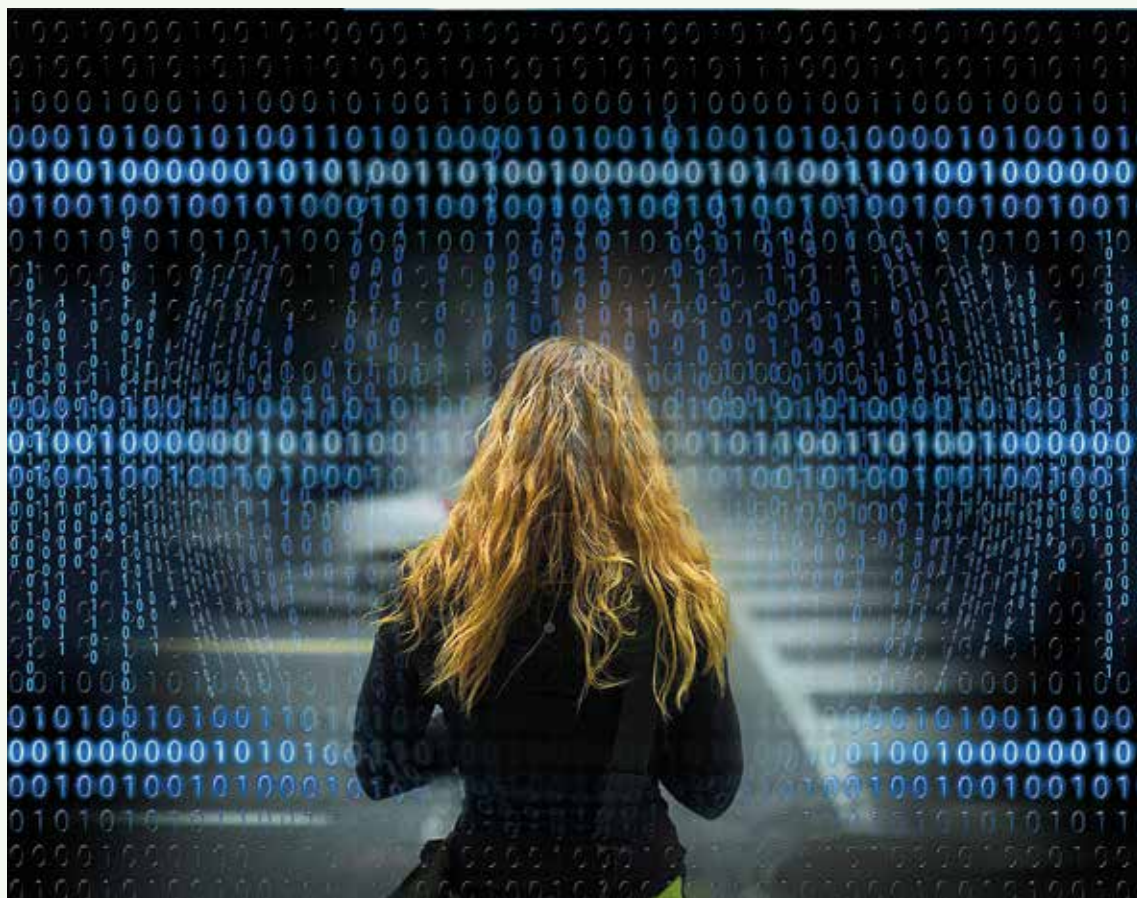
Kiedy już zmierzmy się z faktem, że nasze dane leżą gdzieś w cyfrowej kartotece zupełnie bez naszej kontroli, warto zadać sobie pytanie, kto i w jakim celu miałby do nich zaglądać. Najczęściej nasze myśli kierują się w stronę służb specjalnych i agentów-hakerów, którzy czyhają, by wykraść listę naszych ostatnich rachunków za prąd. Oczywiście zagrożenie prywatności ze strony chciwych na informacje służb jest realne, ale nie oznacza to, że jeśli jesteśmy przeciętnym, ubogim Kowalskim, który nie miesza się do polityki, to nasze dane nie

Niemal każda czynność, którą wykonujesz, pozostawia za sobą cyfrowy ślad, który napętnia twoją „cyfrową teczkę”

do świata cyfrowego, a wraz z nimi twoje imię, nazwisko, datę urodzenia, numer PESEL, adres zamieszkania, informację, od kiedy mieszkasz pod danym adresem, jakie płacisz rachunki, z jakiego banku korzystasz i jakie wynagrodzenie pobierasz. Te dane będą segregowane, uzupełniane i przekazywane pomiędzy różnymi podmiotami – bankami, firmami, kurierami, pocztą czy biurami rachunkowymi. Niemal każda czynność, którą wykonujesz, pozostawia za sobą cyfrowy ślad, który napętnia twoją „cyfrową teczkę”. W tym sensie tylko życie w pustelni poza jakąkolwiek cywilizacją może uwolnić cię od spojrzeń milionów cyfrowych oczu, które śledzą każdy twój krok.

mają znaczenia, a my jesteśmy bezpieczni.

Z jednej strony to oczywiście prawda, że ani służby specjalne, ani megakorporacje nie interesują się życiem każdego człowieka z osobna na tyle, by nas wszystkich indywidualnie inwigilować. Dla megakorporacji jesteśmy ciekawi nie jako osoby znane z imienia i nazwiska, ale jako przedstawicielki i przedstawiciele jakiejś grupy czy profil osoby. Jesteśmy interesujący dlatego, że nasze zanonimizowane (pozbawione możliwości identyfikacji konkretnej osoby) dane są włączane do ogromnych baz i służą do analizy zachowań i preferencji dużej części ludzkości. Dzięki zaprojektowanym algorytmom z tej skarbnicy wiedzy o miliard-



Il: Gerd Altmann z Pixabay

dach ludzi można wydobyć szczegółową wiedzę na temat wzorów zachowań grup wyodrębnionych z całości za pomocą różnych kryteriów, np. wieku, miejsca zamieszkania, płci, rasy, dochodów, poglądów politycznych czy wierzeń religijnych. Te wyniki korporacje sprzedają różnym firmom i organizacjom, które dostają uporządkowaną wiedzę na nasz temat, by wykorzystać ją później np. do sprzedaży telefonów określonego producenta kobietom w wieku 18–25 lat z dużych ośrodków miejskich wschodniej Europy czy zaprezentowania angażującego emocjonalnie spotu partii politycznej mężczyznom o konserwatywnych poglądach w wieku 50–60 lat mieszkających w miejscowościach poniżej 100 tys. mieszkańców w pięciu województwach wschodniej Polski. Poprzez codzienne aktywności w świecie cyfrowym i poza nim dostarczamy nowych informacji, które następnie wykorzystuje się do określania polityki marketingowej i rozwoju produktów, kontrolowania nastrojów

Nauczymy maszyny i programy, jak mają nas postrzegać i oceniać, a następnie zaprzęgniemy je do tworzenia nowej rzeczywistości, w której przyjdzie nam żyć

społecznych, oceny zdolności kredytowej, przydatności do pracy na określonych stanowiskach itp. Proces ten znacznie się pogłębi i przyspieszy, kiedy sztuczna inteligencja zostanie uruchomiona na skalę masową. Nauczymy maszyny i programy, jak mają nas postrzegać i oceniać, a następnie zaprzęgniemy je do tworzenia nowej rzeczy-

wistości, w której przyjdzie nam żyć. Rzeczywistości, w której wraz z maszynami będziemy upodabniać się do siebie tak bardzo, że aż trudno będzie nas od siebie odróżnić.

Jesteśmy interesujący dlatego, że nasze zanonimizowane dane są włączane do ogromnych baz i służą do analizy zachowań i preferencji dużej części ludzkości

Gong na mobilizację

Choć przenoszenie danych do świata cyfrowego oraz rozwijanie sposobów ich przetwarzania i dalszego wykorzystywania trwają już od dawna, póki co mamy jeszcze coś do powiedzenia. Organy władzy publicznej, zwłaszcza organy unijne, podejmują liczne inicjatywy w celu ograniczenia dominującej pozycji technologicznych gigantów. Jednym z ważnych kroków było wprowadzenie powszechnej unijnej regulacji ochrony danych osobowych,

czyli RODO, które – w ogromnym skrócie – wymaga od podmiotów pozyskujących oraz przetwarzających nasze dane ograniczenia się tylko do tych niezbędnych, służących realizacji celów, oraz posiadania do tego podstaw prawnych, takich jak nasza zgoda, konkretny przepis prawa lub interes prawny, którego ważność da się ocenić

w zestawieniu z naszymi prawami podstawowymi. Wprowadzenie RODO w maju 2018 r. spowodowało wysyp wyskakujących okienek w sieci i licznych e-maili do skrzynki elektronicznej,

a jednocześnie zapoczątkowało ważne procesy ewidencjonowania danych, którymi dysponują urzędy i firmy. Wiele z nich zostało albo w najbliższym czasie zostanie usuniętych, po części ograniczono ich wykorzystywanie, posypały się także pierwsze wielomilionowe kary za ich niewłaściwe przetwarzanie. RODO nie jest lekiem na całe zło Internetu i nie jest nawet wystarczającym środkiem do ochrony naszej prywatności i wolności, jednak stanowi ważny oręż, który pozwala choć w części odzyskać kontrolę nad tym, co dzieje się z naszymi danymi, nawet jeśli na co dzień nie zawsze widzimy te zmagania.

Jeden tekst to za mało, aby przedstawić wszystkie zagrożenia, z którymi musimy się zmierzyć, ale jeśli cokolwiek miałby on wnieść do dyskusji, to chciałbym, by było to przekonanie, że nasze dane osobowe są ważne i musimy dbać o to, by zachować nad nimi kontrolę. Ucieczka od świata cyfrowego lub bagatelizowanie tego tematu to rezygnacja z udziału w dyskusji i oddanie się bez walki w ręce megakorporacji. Do tego dopuścić nie możemy. ♦

Michał Pytlik

Utopiami polityka usłana

Utopie często nie kojarzą nam się dobrze – to, co miało wyrzucić świat do góry nogami i przynieść wieczne szczęście, niejednokrotnie okazywało się swoim przeciwieństwem. Choć utopia nieraz przekształcała się w dystopię, to nie ma ani powodu, ani możliwości, by przestać marzyć o lepszej przyszłości.

Wyobraźmy sobie tzw. typową rodzinę: matka, ojciec, dwójka dzieci. Leszek i Krystyna pracują po 8 godzin i wracają do domu między 16:00 a 17:00.

Niedawno obchodzili srebrne gody. Ich córki są już dorosłe. Malwina studiuje matematykę

lata pojechać na tygodniowe wakacje do Grecji albo Hiszpanii, często w ramach *last minute*.

Gdyby w 1821 r. wystannik z przyszłości powiedział Krystynie i Leszkowi, że będą pracowali 8 godzin dziennie i mieli wolną sobotę, to albo oboje wybuchliby gromkim śmiechem, albo kazali mu puknąć się w głowę

kę i mimo że nie załapała się na stypendium socjalne, mieszka w akademiku, a po zajęciach dorabia w kawiarni. Jej siostra Aneta jest po polonistyce i zaczyna pracę w publicznej szkole. Ich rodzicom przysługuje ponad 20 dni płatnego urlopu w roku, dzięki czemu – oraz zgromadzonym oszczędnościom – udaje im się każdego

Czasem któreś z nich zachoruje, więc bierze L4. Córki interesują się światem, chodzą na każde wybory, a Malwina regularnie bierze udział w Młodzieżowych Strajkach Klimatycznych. Dopóki nie wyprowadziły się z domu, mieszkały z rodzicami na 115 m² w dzielnicy obok śródmieścia w średniej wielkości polskim mieście.



Brzmi jak zwykła historia, prawda? To dobrze – im więcej rodzin w Polsce ma stabilną pracę i stać je na zagraniczne wakacje oraz utrzymanie dzieci na studiach, tym lepiej. Ale histo-

Dwa wieki temu nikomu nie śniłoby się, że można płacić za niepracowanie podczas choroby

ria ta może brzmieć zwyczajnie wyłącznie wówczas, gdy założymy, że dzieje się dzisiaj, a nie np. 200 lat temu. Przed dwoma wiekami została uznana za całkowicie nierealną, niemal wyśnioną przyszłość. Byłaby tym, co dziś często pogardliwie nazywamy utopią.

Kiedy normalność jest nierzeczywista

Trzymając się naszego przykładu, sprawdźmy, co jest w nim zwyczajnego, a co niezwykłego, przenosząc się do 1821 r. Czy ojciec i matka mieliby dwójkę dzieci? Jak najbardziej – jeśli nie więcej. Czy wzięliby ślub? Owszem, do tego pewnie towarzyszyliby im muzyka i dobra zabawa. Możliwe też, że byłiby szczęśliwymi ludźmi.

I w zasadzie na tym podobieństwa się kończą. Gdyby w 1821 r. wysłannik z przyszłości powiedział Krystynie i Leszko- wi, że będą pracowali 8 godzin dziennie i mieli wolną sobotę, to albo oboje wybuchliby gromkim śmiechem, albo kazali mu puknąć się w głowę. Kiedy w 2018 r. Partia Razem wyszła z pomysłem skrócenia czasu pracy o *jedną* godzinę dziennie po jakichś 100 latach od momentu, gdy dokonano takiego cięcia po raz ostatni, wielu uznało to za utopij-

ny absurd. Co mieliby pomyśleć Leszek i Krystyna na pomysł skrócenia dnia roboczego o co najmniej 4 godziny? Minęło ledwie 19 lat, od kiedy w Anglii – najpotężniejszym wówczas

państwie na świecie – wprowadzono zakaz pracy powyżej 12 godzin dla dzieci. Podkreślmy: nie dla dorosłych – dla dzieci. I oczywiście nie wszystkich, lecz jedynie garstki podopiecznych lokalnej parafii i wyłącznie tych, które pracowały w przemyśle bawełnianym. Reszta dzieci wciąż pracowała nieraz ponad 12 godzin dziennie.

Czy po tych ponad 12 godzinach pracy cała rodzina (nie tylko rodziców) zarobki były wystarczające, by pojechać

Katorżnicza praca dzieci za głodowe stawki czy zniewolenie społeczne kobiet w bardzo wielu częściach świata niestety ciągle są na porządku dziennym

raz w roku na wakacje? Nawet piszącemu to pytanie trudno powstrzymać śmiech. Wakacje? Płatny urlop? Wysłanniku z przyszłości, nam ledwo starcza na jedzenie i dach nad głową.

Równie utopijne byłoby pytanie o L4. Dwa wieki temu nikomu nie śniłoby się, że można płacić za niepracowanie podczas choroby, podobnie jak robotnik fabryczny nie marzyłby o mieszkaniu ze swoją rodziną w czymś więcej niż zapyziała kłitka bez toalety (o ile w ogóle pracowałby

w fabryce, a nie był wciąż uwiązany do ziemi feudalą). O żadnych 115 m2 nie byłoby mowy.

To oczywiście nie koniec: Aneta nie zostałaby nauczycielką w publicznej szkole, bo przecież idea bezpłatnej edukacji dla wszystkich 200 lat temu musiała brzmieć tak samo, jak w 2021 r. brzmi wizja latających willi z basenem. Malwina nie mogłaby się nawet starać o stypendium socjalne (a co dopiero je dostać) i nie poszłaby na studia, bo równe dla obu płci prawo do edukacji wyższej było tak samo wyobrażalne, jak szklane domy w międzywojennej Polsce. Ani Krystyna, ani żadna z jej córek nie wzięłaby też udziału w wyborach – pomysł, by wszyscy obywatele i obywatelki (a zwłaszcza kobiety) mogli mieć wpływ na to, kto nimi rządzi, musiał wydawać się równie prawdopodobny, jak Zbigniew Ziobro z tęczą flagą na Marszu Równości.

Wróćmy jednak do roku 2021. Trzeba mieć świadomość, że sytuacja większości ludzi na świecie wciąż bardziej przypomina opis sprzed 200 lat niż przedstawioną współczesną rodzinę. Katorżnicza praca dzieci za głodowe stawki czy zniewolenie społeczne kobiet w bardzo wielu częściach świata niestety ciągle są na porządku dziennym. Zmieniło się jedno – poprawa ich położenia (tam, gdzie jeszcze nie nastąpiła) nie jest już utopią, a wyobraźnym scenariuszem,

który dodaje odwagi wszystkim upominającym się o swoje podstawowe prawa. Te same prawa, które w czasach ich pomysłodawców brzmiały jak niemożliwy do spełnienia sen.

Utopia – nierozzerwalny element każdej polityki

Z tej względności, co jest lub było utopią, a co nią nie jest, wynika oczywisty wniosek: rozszawione przez Tomasza Morusa słowo nie powinno uchodzić za argument zamykający dyskusję nad przyszłością. Niestety zbyt często tak się dzieje i, co gorsza, w sposób bardzo jednostronny. Jakże często jakakolwiek propozycja z rezerwuaru ideowego lewicy spotyka się z odrzuceniem właśnie z tego powodu: „To przecież utopia”. Demokracja nie tylko w parlamencie, ale także w miejscu pracy? „To niemożliwe”. Weekend zaczynający się w czwartek wieczorem? „Może w baśni, ale to jest życie”. I tak dalej.

Tymczasem polityka bez utopii nie istnieje i istnieć nie może, a swoje utopie ma także prawica. Kiedy któryś z jej polityków domaga się np. obciążenia zasiłków dla osób bez pracy, to – zakładając, że nie jest po prostu nieludzkim cynikiem – oznacza przecież, że kieruje nim wiara we wspaniały świat, w którym każdy dostaje tyle, ile sobie wypracował. Obniżenie kosztów zatrudnienia dla firm to wyraz przekonania, że żyjemy w idealnie przedsiębiorczym i twórczym społeczeństwie, w którym jednostki inwestują w swoje talenty i pomnażają bogactwo, jeśli tylko państwo im nie przeszkadza. Zmiana kanonu lektur szkolnych na bardziej konserwatywne

Liberalizm, konserwatyzm, socjalizm – wszystkie doktryny polityczne mają swoje utopie

to z kolei element wizji Polek i Polaków bezdyskusyjnie kochających swoją ojczyznę, która to miłość obroni kraj przed złem z zewnątrz i zmotywuje do pracy na jego rzecz. Wszelkie rozwiązania prawne mające w zamierzeniu ich autorów poprawiać rzeczywistość są inspirowane jakąś wizją ideału. Liberalizm, konserwatyzm, socjalizm – wszystkie doktryny polityczne mają swoje utopie. Różnica polega wyłącznie na ich treści.

Nie musimy wiedzieć, czy i kiedy ziści się stan idealny – ważniejsze jest samo docieranie do niego

Utopia jest więc nie tylko względna w zależności od epoki, ale także konieczna w tworzeniu przyszłości, gdyż jest punktem odniesienia dla naszych działań politycznych. Nie musimy wiedzieć, czy i kiedy ziści się stan idealny – ważniejsze jest samo docieranie do niego. Choć nie zbudowaliśmy (jeszcze?) świata „każdemu według potrzeb”, to bez komunistycznej utopii nie wywalczylibyśmy przeciętnej płatki urlopów, chorobowego, prawa do strajku, większej ilości czasu wolnego czy możliwości wyjazdu na wakacje. Wyobrażenie o idealnym świecie popchnęło te sprawy do przodu.

Marzenie o przyszłości

Bezsens odrzucenia propozycji politycznej tylko dlatego, że wydaje się ona utopijna, bardzo dobrze widać nie tylko w perspektywie kilkuset lat, ale także dziś. Na naszych oczach zmienia się podejście np. do koncepcji bezwarunkowego dochodu podstawowego. Z jednej strony wciąż

bowiem czytamy, że pomysł „pieniędzy za nic” dla wszystkich nie ma sensu, bo piękna utopia, w której każdy człowiek ma co jeść i pozostaje bezpieczny, nie może przecież działać; z drugiej jednak przeprowadzono już szereg badań nad ewentualnym funkcjonowaniem takiego świadczenia, powstały na jego temat liczne opracowania naukowe, założono stowarzyszenia promujące to rozwiązanie, zorganizowano

referenda, odbyto szereg debat eksperckich, a niektóre partie nazywają tak – nawet jeśli błędnie – rozwiązania, które wprowadzają w swoich krajach (np. we Włoszech).

Bezwarunkowy dochód podstawowy jest jednym z wielu przykładów tego, jak niemożliwe staje się możliwe. To teza, od której wychodzi książka Rutgera Bregmana *Utopia dla realistów. Recepta na idealny świat*. Autor szczegółowo omawia co najmniej kilka utopijnych propozycji, których – jak twierdzi – czas już nadszedł. W opisie książki pada zdanie, które mogłoby posłużyć za świetne podsumowanie tego artykułu: *Każdy kamień milowy postępu cywilizacyjnego, od końca niewolnictwa do początków demokracji, był niegdyś uznawany za utopijną fantazję*.

Marzenia nie są więc dla frajerów. Bez marzeń wszystko, co robimy, traci sens – w życiu zarówno prywatnym, jak i politycznym. Utopia jest marzeniem o przyszłości, którego dramatycznie potrzebujemy w każdej epoce i w każdym systemie. ♦

Agnieszka Lamek-Kochanowska

Świat idzie do przodu

Gołym okiem widać, że system, który po 1989 r. postrzegaliśmy jako sprawny, racjonalny i użyteczny, już taki nie jest. Obecne czasy zasiały w nas wątpliwości, a zewsząd padają pytania: czy damy sobie radę? co zamiast kapitalizmu? jaka przyszłość nas czeka? Jesteśmy pokoleniem, które nie ma do przekazania swoim dzieciom lepszych, a nawet takich samych warunków życia – nie mamy nawet czystego powietrza ani czystej wody. To sytuacja moralnie wątpliwa.

Mówi się, że nie ma lepszego momentu na rozmyślanie o przyszłości niż początek nowego roku. Gdy mówimy o teraźniejszości, to w odniesieniu do niej snujemy wizję czasów przyszłych. Są one otwartym problemem i w dużej mierze zależą od tego, jaką przyjmujemy pozycję i perspektywę wobec wydarzeń współczesnych.

Choć obecny czas powszechnej kwarantanny jest dla wielu z nas ciemny, pełen lęku i niepewności, nie panikujemy i zachowujemy spokój. Badacze społeczni twierdzą, że istnieją trzy kategorie określające naszą przyszłość: ekonomia, technologia i kryzys. Pierwsze dwie pozwalają nam ją stworzyć i skolonizować. Trzecia, a więc kryzys, pozwala ludzkości i jednostkom podejmować decyzje w sposób inny niż do tej pory.

Właśnie przed takim wyzwaniem dziś stajemy.

W jakim punkcie jesteśmy?

W 2008 r., gdy w Stanach Zjednoczonych upadł bank Lehman Brothers, okazało się, że jedne z kluczowych dla współczesnej ekonomii instytucji – te, które nie mają przyjaznego stosunku do państwa i jego autorytetu – mogą przetrwać tylko dzięki społeczeństwu, tj. podatkom i jego pieniądзом.

Zwątpiliśmy, że przedsiębiorczość, indywidualizm, chciwość, innowacyjność i akumulację kapitału należy utożsamiać z postępem i rozwojem

Był to moment, w którym wiele amerykańskich banków wyciągnęło ręce po publiczne pieniądze. To wtedy skonfrontowaliśmy się z iluzją wytwarzaną przez dominujący system ekonomiczny – zważyliśmy, że przedsiębiorczość, indywidualizm, chciwość, innowacyjność i akumulację kapitału należy utożsamiać z postępem i rozwojem. Gdy w 2008 r. pękła bańka spekulacyjna, powszechnie opisywano to wydarzenie jako „prywatyzację zysków i uspołecznianie strat”. To właśnie w tym zdaniu najlepiej ujawniała się prawda o kapitalizmie, która polega tym, że wygrywa ten, komu uda się przerzucić koszty swojego funkcjonowania na innych. Okazało się, że zbudowaliśmy świat na pogoni za zyskiem, zajęty kumulowaniem bogactwa w rękach nielicznych i masową eksploatacją całych rzesz ludzi. Pojawiły się opinie o reprodukowaniu

bogactwa i biedy, o klasach społecznych i o tym, na ile samo urodzenie się w bogatej lub biednej rodzinie określa nasze późniejsze losy. Powszechniej zaczęto akcentować bezwzględność i niesprawiedliwość ekonomii. Choć nadal dominowały mądrości typu: „możesz więcej”, „jesteś kowalem swojego losu” czy „bogactwo skupuje na wszystkich”, to był to moment znaczący, w którym wielu zaczęło mówić, że teraz nastąpi zmiana, i jednocześnie

pokazywać głęboką iluzję związaną z przekonaniem, że obecna rzeczywistość jest solidna i dana raz na zawsze. Dostrzegliśmy, że wartości, które organizują nasz świat, są bezduszne i nieludzkie.

Rok 2008 był symboliczny – od tego wydarzenia na całym świecie rozpoczęły się masowe protesty, organizowane głównie przez młodych aktywistów. Mimo że przebiegały one z różnym natężeniem, a hasła na transparentach różniły się w poszczególnych krajach, to ich energia i oburzenie nie rozplynęły się w powietrzu, lecz stworzyły grunt pod powstanie lewicowych partii, takich jak Podemos w Hiszpanii, Syriza w Grecji czy Lewica Razem w Polsce. Dzięki tym wydarzeniom w przestrzeni publicznej pojawił się dawno niesłyszany język konfliktu klasowego i lewicowego sprzeciwu wobec nierówności, niskich płac, niesprawiedliwości, niszczeniu

przyrody i dominującej roli rynku. Powszechnie znane stało się hasło „Jesteśmy 99 procentami”. Historia pokazała po raz kolejny, że prawdziwy konflikt toczy się między projektem lewicowym a prawicowym. Dekadę później pojawił się kolejny kryzys, tym razem wywołany pandemią wirusa SARS-CoV-2.

Przyszłość stała się wielką niewiadomą

W 2020 r., w związku z ogólnoswiatową pandemią, wiele państw, w tym Polska, podjęły decyzję o wprowadzeniu kwarantanny. Znaleźliśmy się w sytuacji zamknięcia, konfrontując się z faktem, że przyszłość jest niewiadomą, a nasze plany oraz przyzwyczajenia stoją pod znakiem zapytania. Przez pierwsze miesiące kwarantanny samodoskonaliśmy się w domowych i pozadomowych aktywnościach, po czym uznaliśmy, że jesteśmy gotowi „wrócić do życia”. Tymczasem pandemia ujawniła drapieżność systemu, w którym do tej pory żyliśmy. Okazało się, że publiczne szpitale nie mają zasobów, aby leczyć chorych, a szkoły, przechodząc na nauczanie zdalne, nie docierają z programem do każdego ucznia. Transport publiczny drożeje, bo kwarantanna wywołała kryzys, w związku z czym samorządy, zgodnie z logiką zysku, przerzucają koszty jego utrzymania na ludzi. Tracimy pracę i środki na życie, a pomocy od państwa nie widać. Utknęliśmy w kwarantannie i nie wiemy, jak długo ona potrwa, ani nie umiemy znaleźć sposobu na szybkie „wzięcie się w garść” i powrót do codzienności. Dzieje się tak dlatego, że sama codzienność w trakcie

przedłużającej się kwarantanny uległa dezorganizacji.

Czy umiemy opowiadać o naszym doświadczeniu?

Brakuje nam języka, którym można by opowiedzieć o tym, czego doświadczamy. Od czasów transformacji w Polsce nie pojawiły się żadne projekty społeczne, które niosłyby odpowiedni wymiar bezinteresowności i solidarności – jak chociażby programy emerytalne, alimentacyjne, opiekuńcze czy też dla osób tracących pracę. Każdą kwestię, która odnosiła się do wymiaru społecznego, taką jak zaufanie i odpowiedzialność, odnoszono do wydajności i efektywności ekonomicznej. Innymi słowy: do opłacalności, a nie do altruizmu. Przykładem są niskie zasiłki dla rodziców opiekujących się niepełnosprawnymi dziećmi lub ich brak dla tych, którzy zajmują się swoimi chorymi rodzicami.

Objawem bezduszości było skrócenie wypłacania zasiłków dla osób szukających pracy i ich drastyczne obniżenie. Z kolei ustawa o eksmisji na bruk pokazywała społeczeństwu, że państwo wyzbywa się odpowiedzialności i troski.

To główne powody obecnego braku solidarności, prywatyzacji polityk społecznych i braku obowiązków wobec obywateli. Tymczasem potrzebujemy perspektywy pozwalającej rozmawiać o sytuacji, w której kryzysu nie da się przewidywalnej przyszłości. Teraz widzimy, że to nie tylko rozwój osobisty, podążanie za karierą, pozytywne myślenie, żelazna wola czy determinacja decydują o naszym położeniu w świecie. Przeciwnie, w ogromnej mierze decydują o nim również czynniki zupełnie od nas niezależne. Za jakość naszego życia w większym stopniu jest odpowiedzialny system politycz-

ny i ekonomiczny oraz wynikające z niego projekty społeczne i jakość instytucji publicznych. Zapomnieliśmy mówić i myśleć o tym, że empatia, współczucie i przejęcie się czyimś cierpieniem oraz doświadczeniem niesprawiedliwości mogą być argumentami w debacie publicznej. Program „Rodzina 500+”, finansowy fundament wsparcia rodzin, pokazał, jak wiele polskich dzieci doświadcza biedy i nie może liczyć na wakacyjne wyjazdy. Dodatkowe świadczenie emerytalne, tj. 13. i 14. emerytura, to wyraz troski o najsłabszych. Niemniej argumenty, jakimi zasypano debatę publiczną, dotyczące programów socjalnych skierowanych do osób zależnych, pokazały, iż nadal trudno nam przyjąć, że troska to ważny element myślenia politycznego. Jest to jeden ze skutków transformacji, który może zdecydować o tym, jak będzie wyglądała Polska w przyszłości.



valentinsimono z Pixabay

Dziedzictwo transformacji

Paraliżuje nas lęk przed budowaniem utopii, marzeń i programów politycznych, bo każda z nich kojarzy nam się ze stalinizmem i hitleryzmem – najczarniejszymi momentami w dziejach najnowszej historii. Boimy się tego lub wmówiono nam, że każda utopia, szczególnie ta wspólnotowa, będzie wymagała od nas wyzbycia się wolności, przez co określana jest mianem gułagu. A jednak pozwalamy sobie na używanie języka, który degraduje społeczeństwo. O osobach strajkujących, protestujących, pracownikach niewykwalifikowanych, młodzieży, bezrobotnych, bezdomnych, kobietach czy samotnych matkach mówimy, że są roszczeniowe, niewdzięczne, głupie i niemoralne. Naszą rzeczywistość społeczną potrafimy nazwać dnem i opisać jako zacofaną i nieracjonalną. Ten język to właśnie dziedzictwo transformacji. Tak opisywano Polskę i Polaków, aby uzasadnić wprowadzanie wyniszczających „reform”.

Rzeczywistość zmienia się dzięki projektom politycznym

Gdy dostrzegamy, że państwo jest niewydolne i nie dba o obywateli, a instytucje publiczne tracą autorytet, nie zwracamy na to uwagi, machamy ręką. Mówimy: *przecież zawsze tak było, bo pańszczyzna, zabory i PRL* – znajdujemy wytłumaczenie, które nas uspakaja. Zamiast uznać, że rzeczywistość można odmienić dzięki projektom politycznym, oczekujemy, że podda się ona zasadom działania rodem z korporacji:

innowacjom, optymalizacji i logice rynku.

Gdy Adrian Zandberg, poseł Lewicy Razem, zaproponował rozwiązanie kryzysu braku szczepionek w Polsce w związku z niedostarczeniem ich przez jedną z firm farmaceutycznych (chodzi o szczepionki na COVID-19) i powiedział, że powinniśmy sami rozpocząć ich produkcję, jedna z posłanek Koalicji Obywatelskiej, spadkobierczyni transformacji, odpowiedziała, że takie

Wmówiono nam, że każda utopia, szczególnie ta wspólnotowa, będzie wymagała od nas wyzbycia się wolności

myślenie wynika z komunizmu. Poseł szybko odpowiedział: *Lekcja z pandemii jest prosta. Zamiast liczyć na to, że korporacje załatwią za nas i dla nas wszystko, trzeba stworzyć plan, w tym przypadku odbudowy państwowego przemysłu farmaceutycznego.*

Musimy przestać się troszczyć wyłącznie o korporacje i nie bać się troski o wszystkich obywateli, bez wyjątku. W tym celu te same pytania, które kierujemy do socjalizmu i komunizmu, powinniśmy kierować także do kapitalizmu. A mamy o co pytać: o sprawiedliwość, użyteczność, racjonalność, uprzywilejowanie, ekonomię i skuteczność. Jeśli zaczniemy swobodnie mówić o współzależności, odpowiedzialności i socjalnym wymiarze wspólnoty, będzie nam łatwiej dopuścić do siebie, że prawdziwe konflikty rozgrywają się pomiędzy projektami lewicowymi a prawicowymi. Gdy je usłyszymy, łatwiej będzie nam wybrać, co jest dla nas dobre, a co nie.

Przyszłość po pandemii jest wielką niewiadomą

Im dłużej trwa kwarantanna, tym trudniej poradzić sobie z niewiadomą, jaką jest przyszłość po pandemii. Wielu z nas traci bliskich, a część będzie miała trudne doświadczenia związane z izolacją. Tracimy pracę i środki do życia, czujemy bezradność, niepewność, strach i dojmującą samotność, co powoduje, że okres pandemii staje się dla

nas jeszcze bardziej dotkliwy. Opisanie tego doświadczenia jest konieczne, dlatego warto poszukać języka, słów i obrazów, które oddawałyby nasz niepokój, poczucie opuszczenia, intensywność emocji oraz tragizm obecnej sytuacji w taki sposób, by nie stracić z oczu swoich ideałów.

Po przemianach ustrojowych roku 1989 chcieliśmy stworzyć w Polsce „nowego człowieka” o tożsamości wolnej od politycznych, społecznych i klasowych uwarunkowań, którego nic nie łączy z relacjami ludzkimi i polityką. Teraz, w czasach pandemii, dociera do nas, że nasze życie zależy od tych relacji i że nie istnieją indywidualne rozwiązania systemowych problemów. Widzimy, że jednostka nie ustanie na własnych nogach, bo jest zbyt obciążona. Mimo że w wyniku różnych procesów ekonomicznych społeczeństwo jest dziurawione – ludzie wyjeżdżają za pracą, a instytucje zaniżają i przerzucają swoje zadania na jednostkę – powstają i nadal

działają lokalnie „ogniska oporu”, które nie pozostawiają ludzi na pastwę losu. Warto wymienić anarchistyczną inicjatywę Food Not Bombs, która, mimo pandemii, przy wprowadzonym rygorze sanitarnym, nie odstąpiła od swoich ideałów i wydaje bezpłatny posiłek oraz środki higieniczne osobom w kryzysie bezdomności i biedy. Z działań nie zrezygnowała również Jadłodzielnia Bielsko-Biała, która regularnie zapełnia lodówki i półki w szafkach bezpłatnym jedzeniem.

Gdy instytucje są niedofinansowane – a widzimy ten problem od 30 lat – największym zagrożeniem dla ładu społecznego jest sytuacja, w której pojawiają się brak wiary we wspólnotę i patologiczny indywidualizm. Takie postawy zrodziły np. ruchy przeciwników powszechnych szczepień, którzy nie uznają logiki kolektywnej ochrony wymagającej wiary właśnie we wspólnotę. Oczywiście ekspertyzy nt. bezpieczeństwa szczepionek nie rozplynęły się w powietrzu, ale kiedy system ochrony przestanie być społeczny, troska o zdrowie i życie stanie się kwestią indywidualną. Inny przykład tego zjawiska to „bunt przedsiębiorców” jawnie lekceważących zakazy i zalecenia wprowadzone podczas kwarantanny. Pokazał on, że nie wszyscy przyjęli do wiadomości istnienie społecznych skutków prowadzenia biznesu.

Trudno przewidzieć, jaka będzie przyszłość społeczeństw po pandemii. Czy szala przechyli się w stronę skrajnego indywidualizmu, chaosu, czy też w stronę współodpowiedzialności i współzależności? To wielka niewiadoma. Liczę, że pomimo kryzysu i trudnych doświadczeń nie stracimy z oczu człowieka. ♦

Sabina Musiał

Kto zarabia na dostępie do wiedzy?

Nauka i technologia są nadzieją na stworzenie lepszego, równego społeczeństwa. Dopóki jednak samo środowisko akademickie będzie musiało się dostosowywać do kapitalistycznych warunków premiujących indywidualizm zamiast współpracy, ograniczanie dostępu do wiedzy oraz parcie na jak najszybsze otrzymanie wyników, będzie to bardzo trudne zadanie.

Popkultura karmi nas wizjami niezrozumianych geniuszy, samotników siedzących godzinami nad eksperymentami czy dziwaków nieprzystosowanych społecznie, ale zakochanych w swoich dziedzinach. Jako społeczeństwo uwielbiamy romantyczne historie silnych

Proces publikacji wyników naukowych skupia jak w soczewce wiele problemów kapitalizmu

indywidualistów, którzy wbrew wszystkiemu i wszystkim rewolucjonizują nasz świat. Lubią ich również nagłówki gazet, które co pewien czas ogłaszają przełomowe odkrycie nowego Edisona lub Einsteina. Teraz, kiedy sama weszłam w środowisko nauk biologicznych, widzę, jak bardzo efekty jego funkcjonowania zależą od społeczności, a nie jednostki. Widzę też, w jaki sposób proces publikacji

wyników naukowych skupia jak w soczewce wiele problemów kapitalizmu.

Żyjemy w czasach fenomenalnego tempa wzrostu wiedzy, a jednocześnie niemożliwe jest bycie człowiekiem renesansu – każdy specjalizuje się w swoim wycinku nauki i może w nim zostać prawdziwym ekspertem. Tymczasem, aby odnieść sukces, konieczne są dobre umiejętności społeczne, praca w grupach, otwartość i komunikacja. Nowe pomysły nie pojawiają się w próżni, lecz w wyniku pracy całego zespołu. Do tego dochodzą: czytanie prac naukowych, porozumiewanie się z innymi grupami, a także – być może to najważniejszy z czynników – rozmowy w barze przy piwie po konferencji. Często dzielimy się metodami przeprowadzania eksperymentów, wysyłamy sobie próbki, materiał genetyczny czy bakterie. Współprace odbywają się na skalę międzynarodową, a większość prac naukowych ma od kilku do kilkunastu autorów, często z różnych uniwersytetów.

Publikuj albo przepadnij

W przeciwieństwie do tak pięknie zarysowanego obrazka, nauka potrafi być też brutalna, a robienie kariery naukowej wymaga stawienia czoła wielu kapitalistycznym patologiom. Jednym z najważniejszych aspektów, który daje nadzieję na sukces w przyszłości, jest publikowanie artykułów naukowych w renomowanych czasopismach. Dzięki

tego typu osiągnięciom mamy szansę na stanowiska, granty czy awanse. Pomimo wysiłku całego zespołu, prace naukowe najczęściej rozpoznawane są na podstawie pierwszego lub ostatniego podpisanego autora. Tych w środku zazwyczaj omija ten prestiż.

Co więcej, presja na publikowanie wyklucza osoby pracujące dydaktycznie. Tę rolę zwykle pełnią kobiety, które w konsekwencji mają mniej czasu na badania. Do otrzymania dobrych wyników często potrzebne jest szczęście – zdarza się, że optymalizacja eksperymentów trwa latami, podczas których nie dysponuje się jeszcze wystarczającą ilością danych, aby opublikować swoją pracę. Nie jest to wina pracowników, lecz specyfiki konkretnych badań. Jednocześnie zdarza się, że presja na publikację jest tak duża, iż naukowcy rezygnują z wykonania kolejnych kosztownych eksperymentów, które mogłyby poprawić jakość ich danych, po to, by móc opublikować pracę jak najszybciej i wyprzedzić swoją konkurencję.

Jakość danego artykułu często ocenia się na podstawie prestiżu czasopisma, w którym został opublikowany. Każdy z nas marzy o publikacji w „Nature” albo „Science” – najsłynniejszych tygodnikach w naukach ścisłych, których pozycja jest budowana w oparciu o liczbę odniesień do zawartych w nich pracach. Ukazanie się naszej publikacji w „Nature” gwarantuje nam, że jej treść dotrze do dużej liczby odbiorców i będzie cytowana częściej, niż gdyby tę samą publikację zakwalifikowano do mniej popularnego czasopisma. Znane w nauce marki mają więc kapitał rozpoznawalności,

który jednak nie musi wynikać z lepszej jakości oferowanych przez nich publikacji – badania wskazują na to, że taki związek nie istnieje¹. Liczba cytowań może również zależeć od tego, jak popularna jest dziedzina, którą się zajmujemy. Jeśli piszemy o nowotworach, istnieje

Aby odnieść sukces, konieczne są dobre umiejętności społeczne, praca w grupach, otwartość i komunikacja

bardzo duża szansa, że wiele osób zapozna się z naszą publikacją i się do niej odniesie. Jeśli siedzimy zaś w dziedzinie, którą zajmuje się dziesięć osób na krzyż, będziemy cytowani rzadziej. W żadnym momencie nie oznacza to jednak, że jakość naszej pracy jest gorsza.

Niezakwalifikowanie artykułu do konkretnego czasopisma może wynikać z bardzo prozaicznych powodów – mogliśmy mieć po prostu pecha. Czasem nie sposób wybrać między wieloma doskonałymi pracami. Dodatkowo nasze badania mogły się akurat nie wstrzelić w panującą modę. Po odrzuceniu pracy musimy ją więc jak najszybciej przeformatować na inny styl, który obowiązuje w innym czasopiśmie, i wysłać dalej. Nie wolno nam czekać, bo nawet za miesiąc może się okazać, że nasze badania są już przestarzałe i kilka lat pracy pójdzie w piach. Jednocześnie czasopisma zabraniają wysyłania pracy do więcej niż jednego wydawcy naraz.

Wiedza jako towar

To, co dla naukowców jest bardzo stresującym przeżyciem, dla periodyków jest świetnym modelem biznesowym przesiąkniętym wyzyskiem. Nie wystarczy bowiem, że chcemy opublikować nasze badania, aby

stan wiedzy popchnąć do przodu i podzielić się z innymi swoimi osiągnięciami. Większości czasopism naukowych musimy za to zapłacić, czasem nawet więcej niż 1000 euro. Oczywiście jest to możliwe dopiero po otrzymaniu niezależnej recenzji od co najmniej dwóch badaczy, którzy za darmo analizują nasze dane i sugerują wprowadzenie poprawek. Następnie gotowy produkt wraz ze zmianami zarekomendowanymi przez recenzentów jest sprzedawany za paywallem², a pieniądze z każdej strony lądują u tych, którzy wysilili się w najmniejszym stopniu – wydawców. Teoretycznie recenzenci mogliby się zbuntować i odmówić wykonania darmowej pracy, ale często ryzykują w ten sposób ostracyzmem w środowisku oraz odmową zrecenzowania ich własnych artykułów w przyszłości. Jesteśmy więc zakładnikami wydawców – musimy płacić, by rozwijać karierę, musimy płacić, by uzupełniać swoją wiedzę

¹ <https://www.ncbi.nlm.nih.gov/pmc/articles/PMC5826185/> [dostęp: 12.03.2021]

² Metoda monetyzacji treści w Internecie. Aby uzyskać dostęp do artykułów naukowych, należy opłacić subskrypcję danego czasopisma (40–200 euro). Niektóre oferują też możliwość wykupienia konkretnego artykułu (20+ euro) albo wypożyczenia go na 24–48 godzin (6+ euro).

i musimy pracować za darmo, by nie wypchnięto nas poza margines społeczności.

Europa walczy o otwarty dostęp do wiedzy

Na początku obecnego stulecia w Europie zaczęto wywierać presję na otwarcie dostępu do publikacji naukowych, co zostało określone jako jeden z celów Komisji Europejskiej. Wielu grantodawców wręcz wymaga, aby finansowane przez nich badania były ogólnodostępne. Jako że czasopismo nie zarabia wówczas na subskrypcjach, publikowanie może być nawet dwa razy droższe i kosztować ponad 2000 euro. To kolejna bariera przed sprawiedliwym dzieleniem się wiedzą.

Zazwyczaj za dostęp do artykułów naukowych nie płacimy z własnej kieszeni, lecz koszty te są wliczone w obsługę bibliotek

uniwersyteckich. Utrzymywanie tych usług pochłania wiele milionów złotych i nie gwarantuje, że subskrypcja danego magazynu będzie nam się opłacać. Z tego względu w 2017 r. niemieckie konsorcjum uniwersytetów o nazwie Projekt DEAL postanowiło renegocjować warunki umowy z jedną z największych marek światowych wydawnictw naukowych – Elsevier. Pod groźbą zerwania współpracy konsorcjum zażądało, aby w jednej, opłaconej z góry sumie zawierały się koszty publikowania w *open access* dla niemieckich autorów oraz dostępu do czasopism dla każdego uniwersytetu. Elsevier wkrótce się przekonał, że groźba ta nie była blefem i wszystkie niemieckie instytucje naukowe zrezygnowały z subskrypcji, zaoszczędzając w ten sposób miliony euro. Mogłoby się wydawać, że takie posunięcie oznacza tragedię dla pracowni-

ków naukowych, jednak pomimo upływu czterech lat od tej decyzji jej skutki są niemal nieodczuwalne, a w ślady Niemiec poszły kolejne kraje, takie jak Szwecja, Węgry i Norwegia.

Królowa open access

Postępy w obszarze *open access* są w dużej mierze zasługą kazachstańskiej informatyczki i prawdziwej bohaterki w walce o otwarty dostęp do wiedzy, Aleksandry Asanowny Elbakjan. Stworzyła ona w 2011 r. portal Sci-Hub, na którym można bezpłatnie ściągać prace naukowe umieszczone za paywallem. Mimo że oficjalnie na uniwersytetach nie informuje się o istnieniu portalu, prędkiej czy później każdy student dowiaduje się o nim pocztą pantoflową. Dzięki temu stał się on niesamowicie popularny na całym świecie, zyskując aż 400 tys. wyszukiwań dziennie. W oczywisty sposób jest

to bardzo nie na rękę wydawcom czasopism naukowych, którzy regularnie blokują dostęp do serwisu, a ten regularnie odradza się na nowej domenie. Sama Elbakjan została zmuszona do ukrywania się przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości.

Istnieją też inne, legalne metody na upublicznianie arty-

nie się oszustw. Prace z rażącymi błędami lub manipulacjami mogą wprowadzać w błąd osoby bez eksperckiej wiedzy.

Kierunek: przyszłość

Mimo że każdego dnia rozwój nauki coraz bardziej przyspiesza, sposób, w jaki o niej

To, co dla naukowców jest bardzo stresującym przeżyciem, dla periodyków jest świetnym modelem biznesowym przesiąkniętym wyzyskiem

kułów. Jeszcze przed oficjalnym opublikowaniem pracy naukowcy mogą ją umieścić na serwisach dla pre-printów³, takich jak arXiv czy bioRxiv. Jeśli zależy nam na dostępie do jakichś artykułów, możemy też napisać maila z prośbą do ich autorów, którzy często bez problemu wyślą nam plik. Powstają też nowe periodyki w ramach *open access*, które operują na mniejszych marginesach zysków i wymagają jedynie zapłaty ze strony autorów. Trzeba być jednak bardzo ostrożnym, zwłaszcza jeśli chodzi o publikowanie w nowych i mniej znanych pozycjach. Na akademików czyhają bowiem tzw. *predatory journals* – drapieżne czasopiśma. Ich model biznesowy jest prosty: zapłać nam, a wydamy, co chcesz. Wiele z nich nie wdraża jednak procedury recenzowania, pozwalając w ten sposób na oczywiste pomyłki. To rozwiązanie podwójnie niebezpieczne: wydanie pracy naukowej w takim czasopiśmie nie tylko może skompromitować nieświadomego akademika, ale też pozwala na rozprzestrzenia-

mówimy, wydaje stać się całkowicie w miejscu. Opisany na początku świat, tak otwarty na współpracę, jest bardzo odizolowany. W komunikacji wciąż używamy języka pełnego hermetycznych sformułowań. Ze względu na ograniczenia ze strony wydawców trzymamy się ciągle podobnych schematów, co powoduje, że czytanie artykułów naukowych może znudzić nawet największego pasjonata. Powinniśmy zacząć eksperymentować z nowymi technologiami w komunikacji, aby nauka stawała się bardziej dostępna dla każdego człowieka. Jeśli chcemy przekonać społeczeństwo do finansowania naszych badań, musimy dać mu szansę zrozumieć, czym się zajmujemy i o co toczy się stawka. Pomogłoby to również zapobiec szerzeniu się antynaukowych poglądów. To dzięki integracji, a nie izolacji, możemy ruszyć do przodu. Istotne jest też, by lobbować za zmianami w finansowaniu oraz ocenianiu pracy akademików i przestać używać wydanych publikacji jako jedynej miary ich sukcesu i produktywności. ♦

³ Autorski plik zawierający pracę naukową, która nie została jeszcze oficjalnie wydana w czasopiśmie.

O projekcie „Przyszłość”

Nie jest tajemnicą, że niemal wszyscy chcielibyśmy znać przyszłość, a szczególnie jutrzejszy wynik losowania w Totolotku. Może niekoniecznie chcemy wiedzieć, kiedy i jak umrzemy, ale z pewnością część z nas czyta od czasu do czasu horoskop, próbuje przewidzieć, w co zainwestować na giełdzie, albo zastanawia się, czy z obecną partnerką lub partnerem się zestarzejemy, a nasz związek ma przyszłość.

Kiedy jedni zastanawiają się, czy ich biznes okaże się dochodowy, a inni, czy pracodawca przedłuży im umowę, duża część z nas sprawdzi, jaka jest prognozowana na jutro pogoda. 50-latkowie analizują, ile będzie wynosić ich emerytura, a 30-latkowie myślą, co będzie za kolejnych 30 lat, kiedy już spłacać swój kredyt. Młodzież obiera kierunek nauki w oparciu o wizję tego, co chciałaby robić w przyszłości, a dzieci ciągle mówią, co zrobią, kiedy dorosną (głównie to, czego im teraz nie wolno). Myślimy o przyszłości w różnej perspektywie czasu: dłuższej i krótszej. Niektórzy oddają się refleksjom, jak będzie wyglądać nasz świat za setki lat: czy będziemy latać samochodami, mieszkać w superinteligentnych domach sterowanych myślami oraz spożywać żywność liofilizowaną i mięso z próbki, czy wręcz przeciwnie: tereny planety Ziemia będą niemal wyłącznie



pustynią, a ludzkość wyginie lub ocaleją nieliczni w pędzącym transkontynentalnym pociągu niczym w serialu *Snowpiercer*.

Foresight – prognozowanie przyszłości

O ile niektóre wizje tego, co nas czeka, są oparte na danych naukowych, o tyle wielu spraw nie da się przewidzieć, a tym samym uniknąć różnych negatywnych wydarzeń. Możemy jednak próbować, zwłaszcza że myślenie o przyszłości traktujemy jako postawę odpowiedzialną i z pewnością oczekujemy jej od rządu i samorządu. To właśnie z tego względu korzystają one – podobnie jak zarządy firm – z usług tzw. foresightów i foresighterek.

Foresight to metoda prognozowania, która polega na dyskusji nad przyszłością – np. władzy publicznej, środowisk naukowych, mediów, organizacji pozarządowych, a także opinii publicznej. W dyskusjach tych chodzi o uświadomienie sobie potencjalnych możliwości oraz przygotowanie na nadchodzące zmiany. *Forecast* – prognoza, która jest wynikiem tych rozważań – pozwala stworzyć różne scenariusze, a świadomość ich

istnienia może być przydatna w sprawnym zarządzaniu zasobami, krajem, miastem czy firmą. Tak też powstały scenariusze związane np. z obecną pandemią i możliwymi sposobami radzenia sobie z problemami, które stwarza. Niektóre osoby węższą w nich spisek, ale to pozostawimy bez komentarza.

Czym konkretnie mogą się zajmować foresightery i foresighterki? Przykładowo Instytut Kultury Miejskiej wraz z infuture.institute szukają w swoich badaniach odpowiedzi na pytanie, jak będzie wyglądał Gdańsk przyszłości. Praca nad możliwymi wersjami wydarzeń ma za zadanie określić najważniejsze wyzwania oraz czynniki zmian. W tym celu zostali zaproszeni eksperci i ekspertki z zakresu urbanistyki i architektury, ale także artystki i artyści, a co najciekawsze – dzieci, a więc przyszli mieszkańcy i mieszkanki, oraz wiele innych osób. Dyskusja nad miastem przyszłości (tej za 50 lat) ma doprowadzić do wyobrażenia sobie, co może nas czekać i na co możemy zareagować już teraz. To fascynująca perspektywa. Zarządzanie miastem wydaje się dużo prostsze, jeśli jesteśmy w stanie już dziś

zidentyfikować stojące przed nami zagrożenia i zastanowić się nad możliwymi sposobami ich oddalenia. Niewątpliwie miasta mogą w ten sposób skorzystać również wizerunkowo.

Trendy przyszłości

Foresightery i foresighterki badają różnego rodzaju trendy, w tym trendy konsumenckie, które następnie biznes może wykorzystać do rozwoju czy wdrożenia nowej usługi lub produktu. Tego typu prognozy mają zastosowanie również w innych sferach. Na stronie infuture.institute możemy przeczytać różne scenariusze związane z tym, jak będziemy mieszkać w przyszłości. Przewiduje się w nich m.in., że powierzchnia wewnątrz naszych czterech ścian się zmniejszy, w co nietrudno uwierzyć widząc, jak małe buduje się dziś mieszkania. Rosnącą popularnością będą się za to cieszyć rozwiązania ekologiczne i inteligentne. Pomimo coraz mniejszej powierzchni mieszkaniowej będziemy otaczać się zielenią, a na znaczeniu zyskają ogrody wertykalne. Sztuczna inteligencja zostanie wykorzystana do dostosowania przestrzeni

życiowej do potrzeb osób starszych, zaś roboty humanoidalne nie tylko będą nas wyręczać w różnych pracach, ale staną się również naszymi towarzyszami. Wzrośnie energooszczędność wdrażanych rozwiązań, a bloki mieszkalne będą stanowić odrębne, niemal samowystarczalne jednostki. Pandemia zachwiała jednak wizję przyszłości, dlatego będziemy współdzielić przestrzenie takie jak kuchnia czy pralnia.

Foresight wykorzystywany jest również do prognozowania przyszłości pracy. Według przewidywań coraz ważniejsze będzie połączenie kompetencji związanych z naukami ścisłymi wraz z kompetencjami z zakresu psychologii czy umiejętności społecznych. Niezwykle istotne będzie twórcze i krytyczne myślenie.

Powyzsze przewidywania chyba nikogo nie zaskakują, więc pójdźmy dalej: na rynku pracy utrzymają się niemal wyłącznie wysoko wyspecjalizowane zawody, a automatyzacja i sztuczna inteligencja wyprą pracę fizyczną, przez co niezbędne okaże się wprowadzenie bezwarunkowego dochodu podstawowego. Część pracy będziemy wykonywać dla przyjemności – będą to zajęcia nie tylko kreatywne, ale także zmierzające np. do efektywniejszej ochrony środowiska czy usprawniania rozwiązań ekologicznych. Praca zostanie zdefiniowana na nowo i być może będzie bardziej czymś w rodzaju samorozwoju i spełnienia niż źródłem utrzymania (a więc zwykle również męki). Brzmi utopijnie, ale czy to źle?

Zmierzymy się także z problemem bezczynności, a inny scenariusz mówi, że w związku z wydłużającą się długością życia będziemy również dłużej

***Foresight*
to metoda
prognozowania,
która polega na
dyskusji nad
przyszłością –
np. władzy
publicznej,
środowisk
naukowych,
mediów,
organizacji
pozarządowych,
a także opinii
publicznej**



pracować*. Według jednej z teorii zamiast emerytury wprowadzona zostanie przerwa od pracy wtedy, gdy będziemy wychowywać swoje dzieci. Skoro dłużej żyjemy, a rozwój medycyny pozwoli nam dłużej zachować zdrowie i sprawność fizyczną, to taki scenariusz wydaje się prawdopodobny. Zamiast przez babcię, dzieci będą wychowywane przez – uwaga – rodziców! Cóż za rewolucyjny system, prawda?

Prognoza prognozą, a życie pokaże swoje

Skoro tęgie głowy mogą na podstawie różnych danych i badań przewidzieć problemy, z jakimi przyjdzie nam się zmierzyć w przyszłości, a także ich możliwe rozwiązania, to co do tej pory poszło nie tak?

Diabeł tkwi w szczegółach. Trudno myśleć o odległej przyszłości, jeśli z wieloma palącymi problemami borykamy się dziś. Przecież np. o kryzysie klimatycznym trąbi się od dawna – znamy jego źródło i wiemy, z czego powinniśmy zrezygnować, a co ograniczyć – a jednak wydaje się, że wciąż działamy bez jednego, ogólnie zaakceptowanego planu. Co gorsza, problemów jest znacznie więcej, zaś samo opracowanie takiego planu nie wystarczy.

Przyjęta strategia działania musiałaby być kontynuowana przez kolejnych rządzących, a z tym też bywa różnie. Scenariusze foresighterów i foresighterek sięgają znacznie dalej w przyszłość niż jedna kadencja samorządowców, posłanek czy prezydentów, dlatego tak ważne jest, aby decyzje były podejmowane niezależnie od opcji politycznej i w oparciu o zebrane

dane, mając na celu interes społeczny, a nie np. partyjny czy osobisty. Absolutnie nie lobbuję za wprowadzeniem technokracji, jednak w odniesieniu do konkretnych problemów warto swoje decyzje konsultować szerzej, włączając w to ekspertów i ekspertki oraz społeczeństwo. Można ubolewać nad tym, jak wiele miast nie przewidziało np. skutków gentryfikacji i nie radzi sobie z gospodarką odpadami czy komunikacją zbiorową. Jestem przekonana, że byliśmy w stanie zrozumieć wcześniej zmiany spowodowane stawianiem kolejnych centrów handlowych (upadek małych sklepów i opustoszenie pozostałych części miasta), brakiem regulacji rynku wynajmu krótkoterminowego (sztuczny wzrost cen nieruchomości i opustoszenie kolejnych dzielnic) czy

Uzyskanie pewnej wiedzy o przyszłości nie jest niemożliwe, lecz pytanie brzmi: co jesteśmy w stanie zrobić z tą wiedzą?

betonowaniem każdego skweru (nieznośny wzrost temperatury w mieście). Takie przykłady można mnożyć. *Foresight* zdążył już dotrzeć do Polski, jednak, przynajmniej na razie, nie widać rewolucji w myśleniu o przyszłości.

Rządowy wróżbita Maciej

Trudno się oprzeć możliwości odniesienia się do potencjalnych scenariuszy przyszłości i jeszcze bardziej uwypuklonych problemów, z jakimi musimy się mierzyć, w kontekście pandemii. Kiedy w Polsce wprowadzono jedno obostrzenie, inne luzowano niekiedy tylko na kilka tygo-

dni. Chyba wszyscy chcieliśmy wierzyć, że decydenci wiedzieli, co robią, i swoje decyzje opierali na opiniach nie tylko wirusologów, ale też ekonomistów i innych grup. Chcieliśmy ufać, że wiedzieli, jakie zagrożenia te decyzje niosą. Chcieliśmy, ale chyba nie mieliśmy wystarczających pokładów zaufania, by wierzyć, że wszystkie Tarcze Antykryzysowe były tworzone we współpracy z różnymi grupami interesu. Czy był w nich zabezpieczony interes pracowników, osób bezrobotnych i przedsiębiorców z różnych branż? Z kim konsultowane były kolejne pomysły rządu? Wiemy, że przynajmniej część z przewidywanych scenariuszy dotyczących pandemii i kryzysu okazała się prawdziwa. Czy zatem ktoś zgubił prognozę radzenia sobie

z nimi, czy nigdy takiej prognozy nie było?

Sprawne państwo nie tylko reaguje dynamicznie i nie daje się porwać chwili, ale przede wszystkim jest w stanie przewidywać – i bynajmniej nie mam na myśli obsadzenia wróżbity Macieja w roli rządowego eksperta. Wygląda na to, że uzyskanie pewnej wiedzy o przyszłości nie jest niemożliwe, lecz pytanie brzmi: co jesteśmy w stanie zrobić z tą wiedzą? Wizji przyszłości jest wiele i w znacznym stopniu jesteśmy w stanie wybrać świat, w jakim przyjdzie żyć kolejnym pokoleniom. Jesteśmy w stanie sprawić, by nie był to *Mad Max*. ♦

Równość
nr 1/2021

Wydawca
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135
stowarzyszenie.regera@gmail.com
www.rownosc.eu

Adres wydawcy:
ul. Mieszka I 4/5, 43-300 Bielsko-Biała
redakcja@rownosc.eu

nakład 2000 egzemplarzy
drukarnia: JW PROJEKT Jacek Wiśniewski

Materiał sfinansowany
przez Nową Lewicę

LEWICA

Redakcja Równość

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania
Maciej Szlinder

Autorzy/ki
Dariusz Jakubowski
Leszek Karlik
Bartosz Migas
Sabina Musiał
Joanna Perzyna
Michał Pytlik

Korekta
Marcin Jaworski
Angelika Ogrocka
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik

Projekt graficzny
Mira Larysz

Grafika na okładce
Alicja Beryt

Opracowanie graficzne i skład
Jarosław Hess

Współpraca
Dariusz Lamek-Kochanowski

Kontakt
redakcja@rownosc.eu

Więcej tekstów znajdziesz na:
www.rownosc.eu

Przeczytane? Podaj dalej!

**Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką,
dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową,
nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz
mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznanym
osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej
liczby osób!**